Nr. 11—12 We Lwowie, 1 czerwca 1934 Rok 56



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO
WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

XXXIII ZJAZD ŁOWIECKI M. T. Ł.

odbędzie się 17 czerwca 1934 r. we Lwowie

MSZA ŚWIĘTA przed ołtarzem św. Huberta w kościele św. Elżbiety odprawioną zostanie o godzinie 9-tej rano

WALNE ZGROMADZENIE CZŁONKÓW MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO odbędzie się o godzinie 10^{30} rano, w sali Kasyna Narodowego, ul. Mickiewicza 6

z następującym porządkiem dziennym:

1. Zagajenie;
2. Odczytanie i przyjęcie protokołów z Dorocznego Walnego Zgromadzenia z dn. 5 czerwca 1933 r. i z Nadzwyczajnego Walnego Zgromadzenia z dn. 3 grudnia 1933 r.;
3. Sprawozdanie z czynności Wydziału;
4. Sprawozdanie finansowe wraz ze sprawozdaniem Komisji Rewizyjnej;
5. Preliminarz na rok 1934/35;
6 Wybory uzupełniające;
7. Wnioski i interpelacje.

W godzinach popołudniowych MEETING CZŁONKÓW TOWARZYSTWA na Strzelnicy garnizonowej przy ulicy Kleparowskiej, gdzie będzie się odbywać strzelanie o odznakę myśliwsko-strzelecką. — Regulamin strzelania ogłoszony został w numerze 8—9 „Łowca” b. r.

WYDZIAŁ M. T. Ł.

WITOŁD ZIEMBICKI

JANA OSTROROGA „NOMENKLATURA OGARÓW"

Pracę niniejszą, pod tymsamym tytułem, ale w nieco odmiennej redakcji, ogłosiłem w czasopiśmie „Język polski"[1]) (Kraków, tom XIX, 1934, zeszyt 2) jako przyczynek do dawnego słownictwa polskiego. Ponieważ jednak chodzi tu o słownictwo łowieckie, uważam za wskazane rzecz powtórzyć w „Łowcu". Wspomniane zmiany dotyczą głównie układu. Nie potrzebuję także powtarzać tu szczegółów z biografji Ostroroga, podanych przezemnie w „Języku polskim" dla scharakteryzowania postaci, której rękopis tam po raz pierwszy publikowałem: szczegóły te są czytelnikom „Łowca" znane z innej pracy o Ostrorogu, ogłoszonej w roku zeszłym[2]).

Zaznaczę tu więc tylko, że badając spuściznę literacką Ostroroga, zachowaną w stanie rękopiśmiennym w Bibljotece Ordynacji Krasińskich w Warszawie[3]), znalazłem tam zupełnie nieznane i niepublikowane dotychczas fragmenty. Do nich należy niezmiernie ciekawy i ważny ze względów historyczno-łowieckich i językowych spis imion, nadawanych psom gończym, zawierający tych imion 313 (trzysta trzynaście)[4]). A że Ostroróg był, jak wiadomo, nietylko słynnym myśliwym i hodowcą psów, ale przytem jednym z najwykształceńszych ludzi swej epoki, nie potrzebuję podkreślać, jakie znaczenie ma podobny spis, przez niego właśnie zestawiony. Zamiłowania Ostroroga do badań językowych, których wyraźne ślady spotykamy w niektórych jego pismach, jak np. w „Kalendarzu komarzeńskim"[5]) i w niektórych niepublikowanych częściach rzeczonego rękopisu, podnoszą oczywiście tembardziej wartość materjału, w tym spisie zawartego.

Wartość ta wreszcie i dlatego jest pierwszorzędną, że literatura polska nie posiada dotychczas tego rodzaju zestawień ani opracowań. Skąpe przykłady „zawołań", podane tu i ówdzie, np. przez Kozłowskiego[6]), Bobiatyńskiego[7]), Gołębiowskiego[8]), Glogera[9]), Rostafińskiego[10]), nie mogą ani pod względem ilościowym, ani pod względem rzeczowym, równać się z regestrem Ostroroga.

W spisie Ostroroga zasługują na uwagę prócz polskich nazwy obce, mniej lub więcej spolszczone, wskazujące, jak zobaczymy, na prowenjencję psów różnoraką i przez hodowców ówczesnych widocznie w praktyce różnicowaną.

Znaczenie nazw nadawanych psom gończym ma swoje właściwości. I tak, największa może część wzięta jest z instrumentów muzycznych, wiemy bowiem, że głos psów gończych nazywa się technicznie „graniem"; znajdziemy więc *Harfę*, *Cytrę*, *Klarnet*, *Lirę* i t. p., obok tego *Dyszkant*, *Lament* i t. p. Inne charakteryzują gonitwę: *Ajach*, *Goniec*, *Nawrot*, — albo zaczerpnięte są z mianownictwa dzikich zwierząt i ptaków *(Dzięcioł*, *Lis*, albo z obcych: *Vogel)*, albo też drzew i roślin *(Jaskier*, *Jawor*, *Łoza)*, dalej z języka żeglarskiego *(Bosman*, *Flis)*, inne zawierają aluzję do zawodu kucharskiego *(Kucharz*, *Kuchta)*, do rozmaitych naczyń *(Kufel*, *Sagan)*, to znów do rzemiosł *(Kowal*, *Tkacz)*, inne wreszcie są przeniesionemi nazwami rzek i przechowały się wśród psich imion do dzisiaj: *Dunaj*, *Wisła*.

Rękopis publikuję z zachowaniem pisowni oryginalnej, odbiegając więc od obowiązującej obecnie zasady transkrypcji, a to dlatego, że pewna część nazw nasuwa wątpliwości i nie da się traskrybować bez obawy wypaczenia etymologji. Wyjaśnienia etymologiczne tam, gdzie one były potrzebne, zwłaszcza objaśnienia nazw staropolskich, podałem na podstawie Słownika etymologicznego Brücknera, Słownika Lindego, Słownika gwar polskich Karłowicza i Słownika Warszawskiego[11]), z obcych słowników uwzględniłem słowniki litewskie Kurschata i Szyrwida[12]), dalej znane słowniki francuskie, włoskie, angielskie i niemieckie; ze względu na słownictwo gwarowe łowieckie: Terminologję Kozłowskiego[13]), wraz z rękopiśmiennemi uzupełnieniami, pochodzącemi prawdopodobnie od tegoż autora (które posiadam w swym prywatnym zbiorze)[14]); słowniczek Rostafińskiego[15]), zestawienia wyrazowe w podręczniku Bobiatyńskiego[16]), słowniki Niedbała i Małaczyń-

[1]) Organ Towarzystwa Miłośników języka polskiego, wydawany z zasiłkiem Min. W. R. i Oświec. publ., oraz Komisji językowej Polskiej Akad. Umiejęt.

[2]) Ziembicki W., Jan Ostroróg i jego „Myślistwo z ogary". „Łowiec" 1933, nr. 12—14 i osob. odb., Lwów 1933.

[3]) Pod sygnaturą 279.

[4]) Na kartach oznaczonych liczbą bieżącą 41—42.

[5]) Zob.: Chomętowski Wł., Wiadomość o życiu i pismach Jana Ostroroga, wojewody poznańskiego, w Bibl. Ord. Kras., Muzeum Konst. Świdzińskiego, tom II: Materjały do dziejów rolnictwa w Polsce w XVI i XVII wieku, Warszawa, 1876. Tam na wstępie biografja Ostroroga i niektóre jego pisma, podane podług rękopisu, m. i. „Kalendarz Komarzeński".

[6]) Kozłowski W., Pierwsze początki terminologji łowieckiej, Warszawa, 1822.

[7]) Bobiatyński I., Nauka łowiectwa, Wilno, tom I, 1832, str. 37.

[8]) Gołębiowski Ł., Gry i zabawy, Warszawa, 1831, str. 147.

[9]) Gloger Z., Encyklopedja staropolska, tom IV, Warszawa, 1903, str. 12.

[10]) Rostafiński J., O myślistwie, koniach i psach łowczych książek pięcioro z lat 1584—1690, Kraków, wydaw. Akad. Um. (Biblj. Pisarzów polskich nr. 64) 1914, str. 433.

[11]) Słownikiem warszawskim (w skróceniu) nazywamy Słownik języka polskiego ułożony pod red. J. Karłowicza, A. Kryńskiego i W. Niedźwieckiego. T. I—VII, Warszawa 1898—1919. — Zaznaczam, że w objaśnieniach będę używał skrótu „stp." na oznaczenie nazw staropolskich.

[12]) Kurschat Fr., Wörterbuch d. littauischen Sprache: Littauisch-deutsch. Halle 1883. — Szyrwid K., Dictionarium trium linguarum etc., Vilnae 1713, ed. 5.

[13]) j. w.

[14]) W przypisach, wszędzie tam, gdzie się na tem źródle, niewyzyskanem dotychczas, opieram, wymieniam je specjalnie.

[15]) W cytowanym wyżej dziele: „O myślistwie" i t. d.

[16]) j. w.

skiego[17]); łowieckie słowniczki francuskie[18]) i niemieckie[19]); wreszcie słowniczki Brücknera do pism Kochanowskiego i Potockiego[20]); Słownik Geograficzny wytłumaczył niektóre nazwy, pochodzące od rzek i miejscowości.

Przystępując do publikacji rękopisu Ostroroga, zaznaczam jeszcze, że numeracja imion pochodzi odemnie. Co zaś do objaśnień, podaję je, dla łatwiejszego przeglądu, nie w odsyłaczach, ale bezpośrednio przy każdem imieniu. Bez objaśnienia pozostawiłem te imiona, które go nie wymagają, jakoteż te, zresztą nieliczne, których etymologja pozostała narazie niezrozumiałą.

NOMENCLATURA OGARÓW.

Morduią się czesto mysliwcy, imiona psom wymyslaiąc, czesto ladaiako przeżywaią (sic), przeto iakich się słychać dostawało, spisać się zdało. Iedne cempetunt psom Polskiem[21]): drugie Francuskiem: trzecie Litewskiem: czwarte Inflandzkiem y Zmudzkiem, bo teraz w Polszcze z tych czterech rodzajów psow ledwie nie wszystkie myslistwa[22]) złożone: jednak nie według tey distinctiey, ale według obiecadła się pisze.

A

1 AIACH — Zapewne od imienia bohatera greckiego, *Ajasa.*

2 ARPHA — Od *harfa.*

3 ASTUR — Łac. 'jastrząb'.

B

4 BABA.

5 BACHUR — 'Młody kiernoz, stadnik'; w niemieckim języku myśliwskim *Bacher* 'dzik', por. też *Ferkel.*

6 BADYN — Może z franc. *badiner* 'żartować, figlować, igrać'; przymiotnik: *badin* 'lubiący igrać'. Por. *Figiel.*

7 BANDER — Może tak przyswojone z franc. *bandière* 'bandera'; we franc. myśl. był też termin *bander* (czasownik) używany o sokołach, polujących wraz z psami, ale tu końcowe *r* nie wymawiało się.

8 BĘBEN — Instrument muzyczny, ale i rodzaj głosu; używane też w znaczeniu 'gąsior', (naczynie skórzane).

9 BĘDNARZ.

10 BEFF — Z franc. *boeuf* 'wół'. Por. *Bifel.*

11 BESSER — Z niem. 'lepszy'.

12 BETLER — Z niem. 'żebrak'.

13 BIBER — Z niem 'bóbr'.

14 BIEDA.

15 BIEGUN.

16 BIFEL — Z niem. *Büffel* 'bawół'. Por. wyżej *Beff.*

17 BINBON — Może z franc. *bien, bon.*

18 BINFET — Może z franc. *bien fait.*

19 BIODRA.

20 BLADA — Może w zwyczajnem znaczeniu przymiotnikowem, ale może od myśl. *bladać,* co znaczyło 'błąkać się', przenosić się z miejsca na miejsce, mianowicie o ptakach (tu mogłoby być w przenośni o psach). Por. rkp. uzupełnienia w moim egz. Terminologji Kozłowskiego.

21 BLANS — Może *Blansz* z franc. *blanche.*

22 BLEKOT — *Blekot* 'jąkała; gaduła; głos zwierzęcia, szczekanie'.

23 BLESZCZ — Od *bleszczeć* ,spodełba patrzeć, błyskać okiem, rzucać niespokojne spojrzenia'.

24 BŁOTNA — Zapewne 'chętnie zapuszczająca się w miejsca bagniste'. Por. *błociarz* 'dzik, przebywający w takich miejscach' (rkp. Term. Kozł.).

25 BOBREK — Zapewne od *bobrować* 'brodzić, na wzór bobra, w wodzie, błocie'.

26 BOMBA.

27 BOŃKA — Może od miejscowości *Bonka, Bąka* (Śląsk cieszyński): por. też litewskie *bonkà* 'gliniany garnek', ewentualnie franc. *bon cas.*

28 BORNI — Może z franc. *borgne* 'jednooki'.

29 BOSA.

30 BOSY.

31 BOSMAN — Z niem. 'czeladnik żeglarski'.

32 BOT — Z franc. *botte* 'obroża do wiązania ogarów w sfory'.

33 BRENISZ — Może od *Breń,* nazwa rzek, potoków, wsi.

34 BREWKA.

35 BRODZISZ — Od *brodzić,* myśl. 'polować na błotach'.

36 BRUDNA.

37 BUDZISZ.

38 BULER — Z niem. 'zalotnik'.

39 BURA.

40 BUTEL — Stp. 'pachołek'.

41 BUZIARD — Z franc. *busard,* myśl. 'pies, trzymający się jednego miejsca, pracujący niedbale';inne franc. myśl. wyrażenie o podobnem brzmieniu: *buzards* 'pomiot jeleni'.

C

42 CANTOR — Łac. 'śpiewak'.

43 CHORAŁ.

44 CHYTRA.

45 CICHNA — Od *cichy.*

---

[17]) Niedbał L., Słownik polsko-niemiecki i niemiecko-polski najczęściej używanych wyrazów i zwrotów gwary myśliwskiej, Poznań 1917. — Małaczyński M., Słownik leśniczy polsko-niemiecko-francusko-angielski, Lwów 1923.

[18]) La chasse moderne. Encyclopédie du chasseur, Paris s. d. (po r. 1920), ze słownikiem na str. 633—682. — Goury de Champgrand, Traité de Vénerie et de Chasses, Paris 1769, tu: Dictionnaire des termes de Vénerie etc., na str. 175—208.

[19]) Głównie H. W. Döbels Jäger-Practica etc., nach der ersten Ausgabe, Leipzig 1746, herausgeg. von der Redaction d. „Deutschen Jäger-Zeitung", Neudamm (b. d.). — Z nowszych: Zdarek R., Lehrb. d. Jagdwissenschaft, Wien u. Leipzig 1908. Wreszcie przytoczone wyżej słowniki Niedbała i Małaczyńskiego.

[20]) W wydaniu dzieł Kochanowskiego i Wacława Potockiego („Ogród Fraszek").

[21]) Autor wyraźnie więc rozróżnia odmianę polską.

[22]) Tu myślistwo w znaczeniu całego aparatu myśliwskiego pewnego właściciela: ludzie, konie, psy, sprzęt pomocniczy, w tem „złaja" lub „zgraja" psów gończych.

46 CIFRA — ’Zero, nula’.
47 CYMBAŁ.
48 CIS — Barwy ’cisawej’.
49 CITRA.
50 CLARET — T. j. *klaret* stp. ’klarnet’.
51 CUDZA.
52 CZUBAN — Stp. ’wół’; por. *Beff* i *Bifel*.
53 CZUŁA.

D

54 DINER — Z niem. ’sługa’.
55 DISCANT — Myśl. ’najcieńszy głos psa gończego’ *(dyszkant)*.
56 DONOS.
57 DRABIK — Od *drab*.
58 DREKSLER — Z niem. ’tokarz’.
59 DROSZKA — Może przekształcone z ’druszka, drużka, towarzyszka panny młodej’; por. *swat, swacha*.
60 DRUMLA — Instrument muzyczny.
61 DUDA — Instrument muzyczny.
62 DUMA.
63 DUNAY.
64 DURNA.
65 DZIĘCIOŁ.
66 DZIWAK — *Dziwak, dziwok*, w sokolnictwie ’ptak (ptak drapieżny, sokół) jeszcze nieunoszony’; tu zapewne w przeniesieniu o psie.
67 DZWONEK.
68 DURMAN — W jęz. ludowym jakaś roślina odurzająca; raczej z franc. *durement* ’wytrwale’.

in E non sunt in usu

F

69 FASOŁ — Stp. ’kłótnia, figiel’.
70 z FATER — Jedyna w spisie Ostroroga nazwa, poprzedzona dodatkiem *z;* zapewne więc ma to być naśladownictwo angielskiego rodzajnika *the*, a w takim razie i imię wzięte z ang. *the father* ’ojciec’.
71 FAGOT — Instrument muzyczny.
72 FECHTER — Z niem. ’szermierz’.
73 FEDER — Z niem. ’pióro’.
74 FENRYCH — Z niem. ’chorąży’; por. *fenrych* w Szachach Kochanowskiego.
75 FERKEL — Z niem. ’warchlak’.
76 [FIEIDA] — Zapewne to samo co *fejda, kusa fejda* stp. ’dziewczynka, koza, smarkula’; tem prawdopodobniej, że jako trywjalne jakąś późniejszą ręką w rkp. przekreślone.
77 FIGIEL — Por. u Potockiego fraszka p. t.: »Figiel pies«, ed. Brückner, tom I, str. 73.
78 FLETNIA — Instrument muzyczny.
79 FLIGEL — Z niem. ’skrzydło’.
80 FLIS.
81 FOGEL — Z niem. ’ptak’.
82 FORT — Może w znaczeniu miejsca obronnego, zwłaszcza, że we franc. myśl. *fort* oznacza ’ostoję zwierza, matecznik’.
83 FORTEL.
84 FRANT.
85 FREIDA — Z niem. ’radość’.
86 FRELICH — Z niem. ’wesoły’.
87 FREMDER — Z niem. ’obcy’.
88 FRESER — Z niem. ’żarłok’.
89 FRIIERZ — Stp. *fryjerz* ’zalotnik’.
90 FURMAN.

G

91 GADAY.
92 GĘBA.
93 GEMZA.
94 GEROS — Z lit. ’dobry’.
95 GIBNICHT — Z niem. ’nie daj’.
96 GŁADKA.
97 GOMON — Stp. ’kłótnia hałas, zgiełk’; por. *fasoł*.
98 GONIEC.
99 GONISZ.
100 GRIPA — Może z franc. *grippe* ’kaprys, niechęć’.
101 GUTER — Z niem. ’dobry’.
102 GARAUS — Z niem. ’do cna, do końca’.

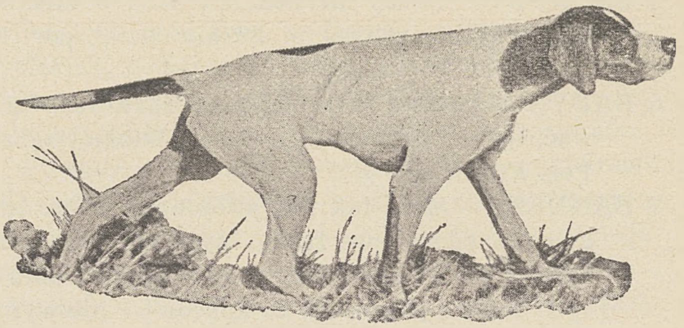
H

103 HERLICH — Z niem. ’wspaniały’.
104 HOŁOS — Z małorusk. ’głos’.
105 HUBTYCH — Może z niem. *hab’ dich* ’mam cię’.

I

106 IASKIER.
107 IAWOR.

(Dok. nast.)



LEOPOLD PAC-POMARNACKI

Propagujmy znajomość łosia

(Odczyt dla niemyśliwych).

Niejeden zapewne z Szanownych Czytelników, będąc kiedyś w Urzędzie Wojewódzkim, lub gmachu Starostwa któregokolwiek z miast polskich, zwrócił uwagę na wywieszony tam barwny plakat, przedstawiający duże zwierzę, o potwornie brzydkim łbie, zbrojnym w rozłożyste, potężne rogi. Długi, ostro zakończony pendzel brody czyni fizjognomję tego zwierzęcia jeszcze bardziej ponurą i odrażającą. Na plakacie tym widnieje krótki napis: losiom w Polsce grozi zagłada.

Niewielu zapewne z pośród szerszego ogółu społeczeństwa widziało żywego łosia. Składa się na to przede-

wszystkiem jego rzadkość, oraz dzikość terenów na których występuje. Łoś jest to ogromne zwierzę, wielkości konia; waga samca dochodzi do 550 kg, samica, zwana w gwarze myśliwskiej łoszą albo klempą, waży do 315 kg. Długość zwierzęcia sięga nieraz ponad 260 cm, wysokość do 185 cm i więcej, łeb wynosi około 80 cm długości. Uszy śpiczasto zakończone i bardzo ruchliwe mierzą po 26 cm. Uwłosienie łosia jest barwy rudo-brunatnej, przyczem nogi, zwane badylami, tylne od bioder, przednie od kolan, są barwy jasnej, kremowo-siwej, prawie białej. — Barwa i gęstość uwłosienia zależne są od pory roku. Na zimę bowiem przywdziewają łosie suknię rudo-siwą o włosie gęstym, podszytym drugą warstwą krótszego i bardziej wełnistego. Jedynie kolor nóg nie ulega zmianie. Łoś jest zwierzęciem dwukopytnem: racice ma wąskie, wydłużone i ostro zakończone. Przód tułowia jest silnie rozwinięty i przewyższa wzrostem cały kadłub, robiąc wrażenie garbu, z którego wyłania się duża, brzydka głowa, opatrzona parą długich, oślich uszu, pomiędzy któremi piętrzy się u byka gmach rogów płaskich, łopaciastych, zaopatrzonych po brzegach w palczaste wyrostki i dochodzących u starych samców do trzydziestu paru kilogramów wagi. Wybitnie wyróżniającej się, jak u jelenia, grzywy — łoś nie posiada, natomiast ma brodę w formie ostro zakończonego pendzla, dłuższego u byka, niż u łoszy i mierzącą 10 do 25 cm. Rzecz dziwna, że stare byki posiadają brody przeważnie krótsze niż młode. Cała postać tego zwierzęcia jest symbolem dysproporcji i bardzo charakterystycznej brzydoty.

Lecz brzydota ta, tak rażąca u zwierzęcia widzianego zbliska, lub okazu wypchanego w sali muzealnej, znika u łosia oglądanego z dużej odległości, w sercu dzikich ostępów poleskich, czy białoruskich. Podmokła puszcza, pełna gnijących pni drzewnych i butwiejących gałęzi, usiana taflami kałuż i bajorów, oraz potężnych wykrotów, wynurzających z bagna sploty obnażonych korzeni, albo moczar rozległy, przyćmiony żółtą zasłoną trzcin chybotliwych, lub ciemną zielenią młodych pędów czarnej olchy i pokrzyw wspaniale wyrośniętych na próchnicznej glebie — stanowią tło tak dzikie i pełne groźnej powagi, że sylwetka łosia, ukazująca się wśród takiego otoczenia — jest tylko pięknem uzupełnieniem puszczańskiego krajobrazu.

I dlatego w niemym zachwycie stajemy zawsze przed arcydziełem malarskiem Juljana Fałata, wpatrując się w barwną panoramę zamglonych łąk, połyskujących na pierwszym planie migotliwym blaskiem rozlanej pomiędzy kępami traw rdzawej wody. Podziwiamy artystyczny realizm odtworzonej dalekiej perspektywy, przyćmionej tumanem podnoszącego się z mokradła oparu, w kłębach którego rysują się ledwie widoczne, śpiczasto zakończone stogi siana. A przez łąkę, na wysokich białych nogach pędzi potentat tych zakątków — rogal łoś, rozpryskując zda się z hałasem kałuże błotnistej wody. Martwe płótno daje nam cząstkę tego piękna natury, które jest zawsze i dla każdego dostępne — trzeba tylko umieć je ukochać i odczuć tak, jak umiał je ułowić i zakląć w swych obrazach wielki mistrz pendzla myśliwskiego.

Oczaruje nas i inny już, lecz niemniej piękny obraz drugiego znawcy i wielbiciela łosia — Henryka Weyssenhoffa. Mamy przed sobą zaśnieżoną połać leśnego błota, upstrzonego kępami siwych prętów łóz, rozsianych szeroko po całej zastygłej w mroźnych kajdanach powierzchni moczaru. W dali, przyprószony płatkami padającego śniegu, majaczy las, na skraju którego wciśnięty w gąszcza stoi łoś. Chłód i brak pożywienia wpłynęły przygnębiająco na potężnego mocarza. Z opuszczonym nisko łbem, wpatruje się w puszysty całun śnieżny, martwy i niemiły. Z całej postaci zwierzęcia bije zniechęcenie i rezygnacja. Jest głodny. A płatki śniegu zaścielają tymczasem ziemię coraz grubiej i grubiej.

Oba te obrazy są piękne, oba stworzone przez pierwszorzędnych, światowej sławy artystów-malarzy, lecz bez porównania piękniejszy jest obraz taki widziany w naturze, na łonie dzikiej przyrody. Moment spotkania z łosiem, jak klisza fotograficzna, utkwi na zawsze w naszej pamięci i odtąd w każdej chwili, zagłębiając się we wspomnieniach — będziemy mogli wywołać miłą jego odbitkę.

Inż. ST. R. R.

„Kot”

Prawie 5 generacji wstecz w rodzinie mej polowało, utrzymując ten kult myśliwski na wysokim poziomie, nic też dziwnego, że niejako dziedzicznie obciążony, miałem w sobie tę „żyłkę“ myśliwską od najmłodszych lat, a że nikt mi tego nie zabraniał, ciągło mnie do strzelby okropnie.

Matka moja, która zresztą też polowała, wymogła na mnie przyrzeczenie, czyli jak się to mówiło „dałem rękę“, że w niedzielę nie będę ani polował, ani wogóle strzelał do żadnej zwierzyny. — Trudno mi to było dotrzymać, bo niedziele, to wymarzony dzień do samotnych wycieczek w las i pola, bo to ani ludzi nigdzie niema, spokój idealny panuje — a tu nie wolno. — Pewnego razu było to też naturalnie w niedzielę, rodzice moi wraz z dziadkiem, który był wówczas u nas, pojechali do sąsiedztwa na wista (bridga się wówczas jeszcze nie grało) a ja zostałem sam. — Wałęsałem się po ogrodzie, nie mogąc sobie miejsca znaleźć i w tej wędrówce bez celu, zaszedłem w kąt ogrodu, gdzie stały inspekty, a w nich melony, chowane specjalnie pieczołowicie przez ojca. — Idąc koło nich — nagle zdrętwiałem, w inspektach bowiem pod podniesioną jedną połową okna zobaczyłem na rozłożystym liściu kota... Poznałem tego bandytę, skazanego przez wszystkich na śmierć, to ten sam, co to w zeszły tydzień zniszczył całe gniazdo słowików w żywopłocie, to ten sam, co to przedwczoraj zjadł 3 kuropatewki, wychowane pod domową kurą... Boże, co tu robić, przecie ja do tego drania już dwa razy chybiłem, nawet ojciec już na niego czatował, a on zawsze cało uchodził i teraz mam mu darować, teraz, gdy poprostu lepszej okazji nie znajdę -- i nie mając właściwie żadnego określonego celu, rzuciłem sie na inspekt, zatrzaskując szybko okno tak, że kota, który się cofnął w tył, zamknąłem w klatce.

No tak, ale co dalej?! Kot zaszył się pod liście melonu i tylko swemi żółtemi, paskudnemi ślepiami łypie na mnie. — Jak go zgładzić, kijem nie można, bo szyby,

Ale, niestety, w czasach dzisiejszych nie każdy ma możność takiego spotkania z najrzadszym już u nas przedstawicielem rodziny jeleniowatych.

Łoś jest zwierzęciem roślinożernem. Na letni i jesienny jego jadłospis składają się soczyste zioła błotne, trawa, oraz młode pędy miękkich drzew jak brzozy, olchy, osiny, wierzby, łozy i młodej sośniny. Zwłaszcza łoza jest nieodzownym składnikiem jego pożywienia. W tym celu wyszukuje okolice w nią obfitujące i w pobliżu nich zazwyczaj przebywa. W ciągu zimy i początku wiosny żywi się mchem i porostami wygrzebanemi z pod śniegu, gałązkami łozy i młodych drzew iglastych, a oprócz tego objada korę z drzew, czyniąc nieraz duże spostoszenia w młodych kulturach leśnych. Przy pomocy rogów, lub posługując się przedniemi nogami, nagina łoś młode drzewka i odrywa zębami pasma kory, poczynając od dołu ku górze. Załatwiwszy się z jednem drzewkiem, zabiera się do drugiego i w ten sposób zdobywa sobie w ciągu głodowych miesięcy zimowych pożywienie.

Ulubionem miejscem pobytu łosia, czyli jak myśliwi zowią, bobrowiskiem, są duże lasy mieszane z gęstem podszyciem, urozmaicone rozległemi obszarami łąk wilgotnych i moczarów, pokrytych łozą, czarną olchą i pokrzywą. Tereny te zasobne w błoto i wodę są stałą siedzibą tego zwierzęcia, chłodzącego się tu w dni upalne w kałużach i szukającego w nich ochrony przed dokuczliwemi owadami. Zwłaszcza stare, samotne byki kryją się w okresie letnim w partjach najniedostępniejszych, natomiast samica z jednem, lub parą urodzonych na początku maja, albo w końcu kwietnia młodych, przebywa w miejscowościach nieco suchszych i bardziej dostępnych. Z końcem sierpnia, lub we wrześniu, w zależności od warunków atmosferycznych i położenia geograficznego danej okolicy, rozpoczynają łosie okres godowy, zwany bukowaniem, albo rują, czy też od terenów, gdzie się ona odbywa — rykowiskiem. W tym okresie, trwającym od 3 do 4 tygodni w ciągu września, wędrują byki z odległych moczarów ku polanom błotnym i wytrzebionym przez burze i wichry leśnym haliznom. O świcie, czy też po zachodzie słońca, albo w ciągu księżycowych nocy, wydają samce potężne, brzmiące jak oddalony grzmot stęknięcia, będące wyzwaniem rywali do walki. Podniecony rogal zachowuje się przy tem bardzo hałaśliwie: łamie z trzaskiem młode drzewka i krzewy, oznajmiając się szeroko całej okolicy. Gdy na drodze stanie rywal, żądny także leśnej miłości, następuje walka, zakończona nierzadko śmiercią jednego z zapaśników.

Byki, ustawicznie rycząc, zbliżają się ku sobie, aż wreszcie ruszają galopem uderzając na siebie z szaloną zaciętością. Trzask łamanych gałęzi i zderzających się rogów, pomieszany z chlupotem błota, wytryskającego z pod racic walczących zwierząt, tworzą w ciszy nocnej donośny hałas, rozlegający się szeroko po moczarze. Rozgrzane bójką łosie atakują się tak długo z wściekłością, aż jeden z nich ranny, lub wyczerpany pojedynkiem — ujdzie z placu boju. Czasem jednak róg przeciwnika przebije czaszkę drugiego byka, kładąc go trupem. A dumny zwycięzca odchodzi majestatycznie ku skromnej samicy, pasącej się w pobliżu i nie okazującej żadnego zainteresowania toczącą się o nią walką. Niekiedy stary, doświadczony rogal zdobędzie wszystkie łosze w okolicy, nie chodzi jednak nigdy w towarzystwie więcej niż jednej klempy. Taki byk, ufny w swą siłę, nie śpieszy na wojowniczy zew młodszych rywali, którzy oceniając po basowem stękaniu moc przeciwnika, sami się usuwają mu z drogi.

Po skończonem rykowisku łączą się łosie w stada, trzymając się teraz miejsc suchszych, jedynie stare byki pędzą nadal samotny żywot. W początkach listopada zaczynają samce zrzucać rogi, zwane rosochami albo łopatami, co się nie odbywa jednak w ściśle określonym czasie, to też niektóre osobniki zachowują je aż do stycznia.

O łopatach łosia, ze względu na ich oryginalność, muszę wspomnieć nieco obszerniej. Każdy róg składa się z róży, t. j. nasady zgrubiałej w formie pierścienia, łączącej się bezpośrednio z czaszką, dalsza zaś część jest wydłużona w kształcie walca i zowie się pniem, który przechodzi w spłaszczoną, szeroką łopatę, nieco wklęsłą i zakończoną po brzegach szeregiem palczastych, zaostrzonych wyrostków różnej długości i grubości, tem obficiej występujących — im starszy jest byk. Młody łoszak

---

zresztą na pewno się rzuci na mnie. Więc pędem, bez namysłu, pobiegłem do domu, debatując po drodze, że przecie wobec tak groźnego przeciwnika i szkodnika, mogę na własną rękę uchylić dane przyrzeczenie — i palnąć kotowi w łeb z mego kochanego Wincia. — Tak sobie myślałem, ale całkiem czystego sumienia nie miałem, więc trzęsąc się z wielkiej emocji, wyjąłem ze zbrojowni Wincia i biegnę do inspektów. Boże, jak ja wówczas się emocjonowałem, niewiem czy możnaby było mieć większą emocję do lwa, lub idąc za postrzelonym tygrysem!!! Ale przychodzę do inspektu i widzę kota już w innem miejscu, jak chodzi gniewnie, źle mrucząc, a skopana ziemia w inspekcie świadczyła, że na dobre, z pułapki chce się wydostać... Niema chwili do namysłu, lada moment kot rzuci się na szybę, rozbije i pójdzie cały, więc nie namyślając się wiele, złożyłem się i gdy tylko muszka znalazła się za uchem strzeliłem przez szybę... Cichy dźwięk automatycznego zamku... i koniec, tylko lekkie drgania liści dają znak, że kulka z mego kochanego Wincia zrobiła swoje; kot padł jak karta.

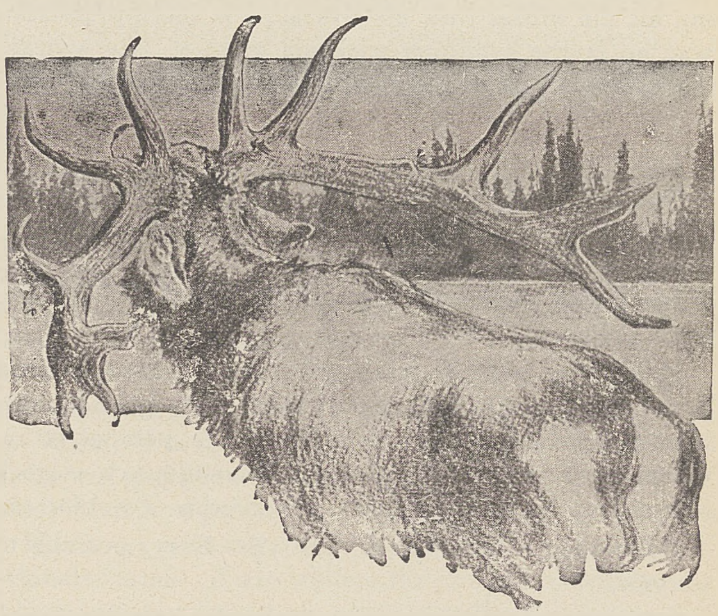
Westchnąwszy do św. Huberta, aby mi w tej sprawie pomógł, zabrałem się do usuwania kota, postanawiając zamazać wszelkie ślady, kota schować do wozowni i na drugi dzień zwierzyć się dziadkowi i prosić, aby jakoś to złamanie przyrzeczenia wobec tak łagodzących okoliczności z matką załatwił. Wyrównałem zatem ładnie ziemię, tu i ówdzie poplamione farbą liście pourywałem, kota do wozowni zaniosłem i stoję nad inspektem medytując, co zrobić z dziurką w szybie, która od kuli pozostała. — Taka charakterystyczna dziurka, okrągła, z takiemi prostemi pęknięciami aż do brzegów. — Jak tu szybę nową wstawić?! Niema rady, trzeba szybę poprostu zbić, może będą myśleli, że kamieniem kto rzucił, albo coś wpadło, więc dalej, kopnąłem obcasem w szybę, dźwiękło, wpadło wszystko na melony... a ja szybko pobiegłem do domu, aby Wincia wyczyścić.

Na drugi dzień — bo rodzice wrócili z tego winta późno w nocy, — nie mogłem się doczekać, kiedy od śniadania wstaną, abym mógł dziadkowi wszystko opowiedzieć. Jak na złość siedzą i siedzą, obracając wczorajsze karty.

w ósmym, czasami dziewiątym miesiącu, zaczyna dostawać na głowie parę guzów okrytych skórą, które rosną, wydłużając się w kształcie dwóch słupków. W maju i czerwcu łoszak, szorując niemi o drzewa — oczyszcza je ze skóry, zwanej scypułem, który do tego czasu wysycha już zupełnie i zaczyna się łupić. W czasie obcierania nabierają rogi brunatno-szarej barwy, ciemniejszej lub jaśniejszej w zależności od drzew, o które zwierzę je czemcha, czyli wyciera. Bowiem soki drzewne nadają barwik młodym rogom wszystkich zwierząt jeleniowatych.

Łoszak, posiadający takie nieodgałęzione rogi, zowie się śpiczakiem. W grudniu byczek gubi swoją ozdobę, a to dzięki temu, że tkanki łączące łopatę z czaszką zamierają, stają się kruche i przy lada uderzeniu, rosochy odpadają. Zwierzę zazwyczaj zagrzebuje je wówczas w ziemi, czy błocie i jest bezbronne aż do marca, kiedy to wyrastają nowe, nieco spłaszczone, o dwóch odgałęzieniach, czyli pasemkach i nosi miano widłaka, w następnym roku szóstaka, ósmaka i t. d., zależnie od ilości wyrostków na obu rogach. Trwa to mniej więcej aż do lat dwudziestu. Potem zazwyczaj pasemka już się nie powiększają, jedynie sama łopata rozrasta się coraz bardziej, a jej brzegi pokrywają się, oprócz poprzedniej ilości pasemek, jeszcze nieznacznemi wypukłościami, będącemi skarlałemi odnogami. Rogi łosia stanowią jakby pamiętnik zwierzęcia. Odnogi duże, pięknie ukształtowane oznaczają lata o lekkich zimach, bezśnieżnych, obfitych w pokarm, natomiast krótkie i drobne odgałęzienia wskazują na surowe i śnieżne zimy, gdy zwierzę głodowało i nie mogło wytworzyć rogów należycie rozwiniętych. — Również uszkodzenie rosoch w czasie, gdy są one pokryte jeszcze skórą, powoduje zniekształcenie łopaty i nieprawidłowe jej ukształtowanie. Dlatego np. można często spotkać byka, posiadającego na jednym rogu więcej pasemek, niż na drugim.

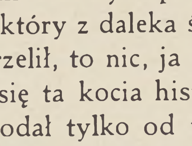
Na ziemiach polskich zdają się występować dwie odmiany łosi. Jedna z nich, właściwa północy, której przedstawiciele zowią się badylarzami — spotyka się w puszczach Wileńszczyzny i północnego Polesia. Druga — łopatacze, pokrewna łosiom Prus Wschodnich i Litwy, trafia się u nas w południowych częściach Polesia i jest już zupełnie zanikającą, zasymilowaną z badylarzami. — Charakterystyczną cechą badylarzy są rogi o dużej rozpiętości i silnie wykształconych pasemkach kosztem samej łopaty. Różnicę stanowi także krótka, ścięta klinowato broda. Natomiast łopatacze mają brodę długą i bardziej śpiczastą, zaś rosochy o wybitnie szerokich łopatach, a krótkich i skarlałych odnogach. Rozpiętość rogów też jest znacznie mniejsza i kiedy u pierwszego wynosi ona do 130 cm u drugiego mierzy zaledwie 110 cm. Różnice te można jednak zaobserwować tylko u byków starszych, liczących 7—9 lat. U mniejszych okazów są one nieuchwytne. Świetny znawca łowiectwa Włodzimierz Korsak twierdzi ponadto, że badylarze są większe i jaśniej ubarwione, podczas gdy łopatacze mają sierść ciemniejszą i wybitnie białe nogi, kiedy u pierwszych są one siwe. Łopataczy zowią także łosiami leśnemi, a badylarze noszą miano błotnych. Jak już wyżej zaznaczyłem, łopatacze giną, łącząc się z liczniejszemi u nas badylarzami, tak że wkrótce będziemy mieli jedynie przedstawicieli tych ostatnich, o domieszce krwi łopataczy i niektórych ich cechach urożenia. (Dok. nast.).



Nie mogłem pojąć, że „3 bez atu, albo jaki inny król na ręku", było coś tak ważnego, aby o tem mówić tak wiele. Nareszcie wstali i ja poszedłem z dziadkiem do zbrojowni, gdzie dziadek stale, ile razy u nas nocował, czytywał swój „Czas". — Tam to opowiedziałem wszystko i uprosiłem, że dziadek obiecał tą sprawę załatwić sam z matką. Pyszne było to w tem omawianiu mego grzechu, że dziadek wcale nie okazał zdziwienia, żem kota strzelił, przeciwnie, gdym doszedł do chwili, gdzie powiadam ...no i migła mi mucha za ucho... i ja... przerwał mi i pyta: „trafiony"?! „No, to dobrze", ale, ale, właściwie to powinieneś dostać karę za złamanie przyrzeczenia, no ale uznaję okoliczności łagodzące, bo jestem pewny, że matka sama, gdyby była, toby ci pozwoliła. — Dla pewności jednak ulotniłem się po tej rozmowie, bo wolałem nie być zbyt blisko przy starszych, gdy o tem mowa będzie. Widziałem, że dziadek poszedł do dalszych pokoi szukać matki.

Pobiegłem zatem do ogrodu i jak zbrodniarz, skierowałem się do tych inspektów, nie widząc w zamyśleniu, że rodzice moi już tam w międzyczasie przyszli i stoją, medytując nad rozbitą szybą. — Zdrętwiałem, ale już cofnąć się, nie było można. Widzę ojca, jak trzyma w ręku kawałek szybki, w któ.rej akurat ocalała ta dziurka od kuli, ten widomy znak strzału, który tak bardzo chciałem zniszczyć... Ojciec popatrzał na mnie trochę „nie bardzo" i pyta: „do czego tu strzelałeś?" ...Ja ...nic, to może dawniej, próbuję się wykręcić, ale św. Hubert łaskaw był na mnie, bo w tej chwili z za żywopłotu ukazała się wyniosła postać Dziadka, który z daleka śmiejąc się, począł wołać: „Stefan kota strzelił, to nic, ja wam to opowiem".

Tak to załatwiła się ta kocia historja. Wszystko przewidujący dziadek dodał tylko od tego czasu do danego przezemnie matce przyrzeczenia małą zmianę, że tylko w wyjątkowych razach — tak jak do tego kota — wolno mi na własną rękę postąpić, bez pytania — ale gniewać, to się wszyscy nie bardzo gniewali.



DOŁĘGA junior

Na tokach

Słusznie nasz poeta-myśliwy ś. p. Ejsmond nazwał Polesie świątynią czarów, bo i niesamowite misterja tam się odbywają. Kraj ten napozór jednostajny i melancholijny, Stwórca obdarzył takiem zbiorowiskiem różnych zwierząt i ptaków, jakiemi żaden kraj w Europie poszczycić się nie może. Dla myśliwego to raj, to Mekka, do której jedni pragną chociażby raz w życiu podążyć, drudzy szczęśliwcy, którzy ją poznali, tęsknią i marzą, by być tam chociażby jeszcze raz.

Szczególnie wiosną, opętańczym czarem tchnie każde tamtejsze łowisko i kto raz zagłębił się w tajniki tych bagien i lasów, ten, żeby wyjechał za dziesiątą górę, swoje serce pozostawi tam na bagnie i co rok, gdy słońce czulej przyświeci i podmuch wiosenny zczerni śnieg, jakaś tęsknota opanuje duszę nieszczęśliwca. Nie będzie mógł sobie znaleźć miejsca, włóczyć się będzie po lasach i polach, będzie szukać czegoś, pętać się będzie między ludźmi, nic nie widząc i nic nie słysząc, a w snach prześladować go będzie symfonja telękania głuszca. Nie wytrzyma. Nie zważając na reumatyzm, względnie rozedmę płuc, porwie plecak, strzelbę i powróci.

I ja powróciłem...

Św. Hubert w Swojej łaskawości użyczył mi tego szczęścia, że mogłem pięć dni spędzić podczas przepięknej tegorocznej wiosny na Polesiu.

Naprawdę wielkiemi haustami piłem rozkocze wiosennych polowań.

Zdobyłem piękny wachlarz starego głuszca wśród prawdziwie poleskich trudności brodząc po kolana, strzeliłem cietrzewie z budki i na podchodnego, pełzając po zeszronionych wrzosach, byłem na fascynujących ciągach słonek i na kaczorach, zamiast z krekuchą, z wabiarzem.

Polesie ugościło mnie tak, jak tylko Kresy potrafją to uczynić.

Nie czuję się na siłach opisać wszystkich wrażeń, pragnę tylko podać to, co może zainteresować czytelników.

Siedziałem dwa razy w budce na cietrzewie i za każdym razem miałem nieproszonych lecz oryginalnych gości. — Pierwszy raz, w jakiś czas po strzeleniu cietrzewia siadł obok niego kruk, potem wyskoczył na niego i począł go obrabiać dziobem. O kilkanaście kroków dalej tokował inny cietrzew i bulgocąc z rozpuszczonemi skrzydłami zrobił kilka kroków w stronę kruka. Ostatni widać uznał ten ruch za zaczepkę, zeskoczył z cietrzewia i w podskokach ruszył w stronę tokującego. W tym momencie padł strzał mego sąsiada siedzącego niedaleko, który spłoszył kruka i zepsuł mi może bardzo ciekawe widowisko.

W dwa dni później w tem samem miejscu zdarzył się inny wypadek. Jeszcze za zupełnego zmroku siadło na tokowisku 5 kogutów i tokowało bardzo dobrze. Gdy się rozjaśniło, nagle uspokoiły się i tylko od czasu do czasu któryś krótko zabełkotał, wkońcu zupełnie zamilkły i przeszło godzinę nie ruszały się nawet. Więcej kogutów ani kur nie zleciało na tokowisko. Po wschodzie słońca mój towarzysz strzelił dość daleko jednego koguta i ten przez chwilę trzepał jeszcze skrzydłami. Wtedy jakiś ptak usiadł na niego. Sądziłem, że to znany mi już kruk, gdyż z powodu odległości i trawy nie mogłem rozpoznać gatunku ptaka. Padł drugi strzał sąsiada. Reszta cietrzewi odleciało, ale wspomniany ptak nie odleciał. Nie zabierając z budki strzelby, ciągle sądząc, że mam do czynienia z krukiem w tym czasie chronionym ustawą, wyszedłem i chciałem go odpędzić. Jakież było moje zdziwienie i rozpacz, gdy na kilka kroków zobaczyłem gołębiarza, który męczył się wyciąganiem szponów utopionych w grzbiecie koguta. Naturalnie później zdrów odleciał.

Jak się okazało, mój towarzysz dał drugi strzał właśnie do niego, lecz z powodu grubego śrutu i odległości, chybił, co jednak nie odstraszyło drapieżnika. Prawdopodobnie tenże był i sprawcą, że tok nie odbywał się normalnie. Zapewne musiał siedzieć na poblizkiem drzewie i obserwować tokowisko, co znów cietrzewi nie zachęcało do tokowania.

Wprost na świetne trafiłem ciągi słonek i bodaj te największe zrobiły na mnie wrażenie. Na tle koncertu całej rzeszy drobnych ptasząt słychać było krzyk żórawi, bełkot cietrzewi, ciągły basowy kwak kaczorów, a wśród tego miłego symfonicznego zgiełku bardzo często ciągnęły świetnie chrapiące słonki. Stałem oszołomiony tym koncertem i dzięki temu nie zrobiłem rzezi, mimo, że jednego dnia mogłem strzelać do 14, drugiego do 11 a strzelałem tylko do połowy.

W kłopot wprawiały mnie też one w czasie skakania do głuszca. Wprost przeszkadzały w wsłuchiwaniu się w pieśń i kilka razy nawet z pewnym wyrzutem spoglądałem na te ciągnące ukochane długodzióby.

Czy nie dość barwnie i przekonywująco ilustruje ten raj myśliwski fakt, że jednego ranka zabiłem głuszca, potem strzeliłem na wabia dwa kaczory, a wieczorem tegoż dnia, miałem na rozkładzie 5 słonek i to tylko dlatego, ponieważ naprawdę pchały się pod lufy, więc dokończyłem ciągu nie ładując strzelby.

Pięć dni zleciały jak sen upojny. Pozostały niezapomniane wspomnienia. Odjeżdżając, często odwracałem głowę, by jeszcze raz napieścić oczy widokami tak głęboko przemawiającemi do duszy myśliwego. Każde drzewo, każde przydrożne bagienko, zda się szeptały słowa pożegnania i prośbę o rychły powrót, a serce moje przysięgało: wrócę, napewno wrócę...



Dr. MICHAŁ MOYSA ROSOCHACKI

Na tokach w Styrji w r. 1934

Pięciodniowy pobyt we Wiedniu, to trochę mało dla nieprzebranej ilości ciekawych spostrzeżeń. Umysł głodny wrażeń, wchłania je niezwykle sprawnie.

Już po kilkugodzinnym pobycie stwierdzamy w społeczności wiedeńskiej nietylko znany ogólnie, pogodny optymizm, wesołość i wrodzoną muzykalność, ale też dość wyrobiony zmysł piękna, znamionujący wysoką kulturę duchową tego centrum Europy.

Tych zasadniczych rysów natury wiedeńczyka, nie zmienił ani kryzys, ani nawet niesłychana różnorodność przekonań politycznych i przynależności partyjnych.

*

Z bogatej skarbnicy wspomnień — którym należy dać pierwszeństwo? Oczywiście tym, które — jeśli już nie bezpośrednio — łowiectwa dotyczą, to przynajmniej z daleka do łowiectwa nawiązują.

Takiemi wspomnieniami dzielę się z czytelnikami, a czynię to tem chętniej, gdyż przeżywam je ponownie.

*

Dnia 1 IV 1934, otwarto w ongiś dworskiem, obecnie państwowem muzeum przyrodniczem wystawę zwierzyńca w Lainz. Tym, którzy nie chcą, lub nie mogą poświęcić więcej czasu i pracy dla przestudjowania tego niezwykle ciekawego zwierzyńca w naturze, przedstawia wystawa kilkanaście witryn muzealnych zwięźle i popularnie, tylko z lekka zaczepiając o naukę — jego ziemię i historję, jego świat roślinny i zwierzęcy.

Widzimy tu grzyby, motyle, liczny zastęp pasorzytów i szkodników roślinnych i zwierzęcych, a też wspaniałe 400-letnie buki i dęby. Myśliwego interesuje przedewszystkiem zwierzostan. Wedle stanu w r. 1933, żyje tu: 92 jeleni, 293 danieli, 162 muflonów, które się utrzymały w czystości rasy a pochodzą wyłącznie z Korsyki i Sardynji, 100 dzików i 39 sarn. Więcej jak tych 686 sztuk zwierzyny nie można trzymać, albowiem połowa łąk należących do zwierzyńca, została wydzierżawiona a więc brak karmy. Właścicielem tego zwierzyńca jest „Fundusz poszkodowanych wojną“.

*

Inny obrazek: Dwudniowa międzynarodowa Wystawa psów rasowych. Urządza ją austrjacki Zw. kynologów. Stały pałac Targów, przerobiony z części stajen dworskich, pomieści z okazji tej wystawy 800 psów rasowych.

Między niemi jest także kilka okazów bawarskich górskich posokowców czyli farbowców. Wysoka użyteczność tych psów została oficjalnie uznaną przez nową niemiecką ustawę łowiecką: Ustawa ta ustanawia tak dla właścicieli jak i dla dzierżawców górskich łowisk bezwzględny przymus i obowiązek utrzymywania posokowców. Czy nie przydałby się u nas podobny przymus? Ale jest to temat, godny osobnego artykułu.

*

W atmosferze nawskroś myśliwskiej spędziłem przedwczorajszy wieczór, w domu jednego z naszych wiedeńskich przyjaciół!

Już w przedpokoju oglądam szafę, pełną najlepszej nowoczesnej broni. Gospodarz pokazuje mi rożki kapitalnego rogacza, pochodzącego z naszych gór karpackich. Oglądam 3 zabite przez niego niedźwiedzie siedmiogrodzkie, wreszcie szereg wieńców siedmiogrodzkich jeleni. — Każdy z tych wieńców posiada rekordową wagę ponad 11 kg. Widzę też znakomite zdjęcia dziewiczych puszcz, siekierą nigdy nie tkniętych. Drzewostan tych puszcz to buk, świerk i jodła o przeciętnie metrowych grubościach i 40-metrowych wysokościach. Ożywionej naszej rozmowie, towarzyszy niemniej ożywiony hałas 5 psów wysokiej krwi.

*

Za dni kilka odbędzie się też wielkie, premjowane strzelanie do rzutków, na strzelnicy wojskowej.

*

Chcąc wyczrpać tegoroczne wspomnienia myśliwskie nie mogę pominąć wystawy rysunków zwierząt, otwartej 18 kwietnia 1934, we wspaniałej marmurowej hali nowego Burgu na Placu Bohaterów. — Wystawa ta obejmuje 53 rysunków kredowych i grafitowych, o wymiarach od 45 cm na 36, do 152 na 127 cm. Rysunki te, o niezwykłej żywości i plastyce, przedstawiają różne zwierzęta: komary, ptaki, psy, koty, małpy i tygrysy, o często nadnaturalnej wielkości. Autorem tych wszystkich rysunków jest znany portrecista Alfred Hawel, który dochód z tej imprezy przeznaczył dla Towarzystwa Ochrony Zwierząt.

Działalność tego towarzystwa i jego rozwój, jak niemniej działalność Wolnego Stowarzyszenia dla ochrony łowiectwa, stanowią odrębne tematy.

Na tej wystawie widzimy rysunki 9 psów a między niemi przepyszną głowę rasowego bawarskiego posokowca. — Wystawa ta z końcem maja b. r. wyjedzie do Londynu, by tam pod protektoratem znanej miłośniczki zwierząt, lady Hamilton propagować dalej ideę ochrony zwierząt. Hasło tej wystawy, które pozwalam sobie podać w oryginale, brzmi: „Tiere werben für sich“. Znakomity, aczkolwiek smutny jest obraz, użyty dla afiszów i propagandy: Głęboka zima. Gruba warstwa śniegu pokrywa ziemię. Na tle wysokiego starodrzewia, wspaniale ośnieżonego, leży nieżywa łania, padła z głodu. Obraz ten o świetnej perspektywie, rozbudza rzeczywiście miłosierdzie dla zwierząt, jeszcze silniej jednak przypomina on zarazem hodowcom-myśliwym ich najprymitywniejsze obowiązki.

*

Miło pisać o tem wszystkiem, gdyż wszystko ponownie się przeżywa, czas jednak powrócić do głuszców i ich toków.

Niestety nie mogę się mierzyć z naszymi mistrzami, którzy tak wspaniale wierszem i prozą opisywali niewysłowiony czar toków głuszcowych. Dlatego niech mi będzie wolno ograniczyć się na krótkiem sprawozdaniu.

W sobotę 21 kwietnia 1934 przyjeżdżam do Styrji. Po 5-ciu dniach prawdziwie upalnej temperatury, dziś pierwszy dzień chłodniejszy, po krótkim deszczu nocnym. — Z całej Styrji wschodniej nadchodzą smutne wieści o złych tokach tegorocznych: Kur widuje się mało, głu-

szców również jest mniej, a pozostałe grają źle. Cietrzewie wywędrowały na doły. Niestety i u mnie nie wygląda lepiej. — Dnia następnego strzelam starego głuszca, który od dłuższego czasu sam miejsca nie dotrzymując — nie dopuszczał młodszych kogutów na tokowisko.

Następnego ranka — pomimo dobrego miejsca w innej stronie, nie mam całkiem spotkania, co tu rzeczywiście należy do rzadkości.

W Styrji, 25 kwietnia 1934 r.



TYTUS KARPOWICZ

Gdy wiosna zbudzi do życia świat...

Było cicho.

Dzień ku wieczorowi się chylił. Wiosenne, złocisto czerwone słońce, wyrzuciwszy ze siebie taśmy ostatnich promieni, kładło zmęczoną głowę na daleki wał lasów, drzemiących hen, tam... na krańcach szarego już widnokręgu. Na płaskich łąkach śniły wokół bezkreśne, zda się, rozlewy, mieniące się barwami zachodniego nieba, o kolorycie co chwila to bogatszym w przeróżne gamy zabarwień...

Śniły w spokoju o śniegach białych i o podchmurnej wędrówce...

Słońce je blaskiem ostatnim pieściło...

Tu i ówdzie z zatopionych łąk wznosiły się nad wodę szmaragdowe kępy łozin, lub małe ostrowy, przyozdobione świeżą zielenią młodej murawy i fioletową koronką brzeziny.

Wiosna już świat zbudzony maiła...

W przyrodzie panował czarowny nastrój, pełen pogody i ciszy. Na tem tle jedynie czasami czajka buszując w przestworzach, zawiodła smętnie, płacząco... Jedynie białobrzuchy bekas tuż, nad samą wodą, jak werbel — zawarczał...

Słońce pragnęło już odpoczynku.

Skłaniało swą twarz promienną — do snu się kładło. Oto nad zatartą jarzącym się blaskiem linją lasu zawisło, potem wolno, wolniutko zapadło za drzewa dalekiej puszczy i, śląc jeszcze pożegnalne całusy promieni, hen... ku górze, drzemać zaczęło...

Niebawem na szerokiem niebie zakwitła purpurowa zorza, podobna do gigantycznego, czerwonego maku o dziwacznym, rozbitym kształcie. Zapłonęła szeroko, obejmując zachodnią półkulę stropu niebieskiego, i, jak pretensjonatka, zaczęła się przeglądać w rozpostartych lustrzanych taflach wód...

Cicho było wokoło.

Urok panował wszechwładnie.

Piękno wiosny poiło szczęściem duszę stęsknioną.

Chciało się śmiać, śpiewać i — płakać, lecieć pod nieba i tę ziemię umiłowaną, ramionami obchwyciwszy, całować...

W sercu tęskniąca radość mieszkała!

— — — — — — — — — — — — —

Zaczajony w kępach łoziny, w stroju, barwą podobnym ziemi wiosennej, z wiernym towarzyszem przy nodze i z niezgorszą przyjaciółką — dwururką w dłoniach, czekałeś, pilnie penetrując widnokrąg.

Rozlewy cichły coraz bardziej. Umilkły płaczliwe czajki. Zawarczał jeszcze raz kszyk i — urwał.

Tylko kłęby muszek, wirujące nad krzewami ostrowu, jak małe, złociste kule pyłu, dzwoniły cicho, subtelnie... jak te krasnoludkowe dzwoneczki z bajki. — Srebrny dźwięk wpadał w ucho niby gawęda ruczaju w noc cichą, niby szum zbóż pod zachód... Anielską melodją nieuchwytnych, miękkich, jak aksamit, tonach szeptał...

Czasami rycerski żuk akompanjował wojowniczym akcentem... Oczarowany pięknem wiosennej przyrody — dumałeś....

...Jak te nici srebrzyste babiego lata, w pogodny dzień jesienny huśtane wietrzykiem — snuły ci się w umyśle wspomnienia z twego życia... Wywoływały z krainy przeszłości zatarte obrazy, okazując ci je w świeżości faktów i żywym kolorycie... Od chwili, gdy cię matka nauczyła pacierza, do teraz — okres niezbyt długi, lecz jakże pełen różnych przeżyć, jakże obfity w koleje losu, podobny do wieńca, uplecionego z tarninowej gałązki i z girlandy nanizanych na źdźbło leśne poziomek...

— — — — — — — — — — — — —

Obudziłeś się z dumań.

Tam, daleko... nad ciemnym borem, w płomieniu zórz, ukazały się czarne, drobne punkciki, samym już widokiem napawające rozkoszą duszę myśliwego. — Szybko, drgając w powietrzu, przybliżały się widoczne na niebie, jak ciemne, płynące krzyżyki...

Dzikie kaczki — miłośnice wiosny!

Są coraz bliżej i bliżej... Serce łomoce w piersi. Znajdują się prawie tuż nad głową: melodyjnie brzęczą skrzydła, czasem namiętny kaczor kwaknie chrapliwie, rozgłośnie, ożywiając smętny, rozespany rozlew... Ręce ci drgają, jakbyś miał strzelać przynajmniej do niedźwiedzia. — Rozkosz myśliwska na nerwach gra...

Obróciłeś się — palnąłeś raz. Rozlewy, spragnione spokoju, pochłonęły echo wystrzału; kaczor skoziołkował w powietrzu i z pluskiem padł na wodę; przerażona jego towarzyszka energiczniej zamachała lotkami i ...samotna zginęła niebawem gdzieś w przestrzeni, gdzie czarny ząb lasu wbijał się w niebo.

Cichość zaległa...

Rozlew leżał milczący, obojętny — a może spał już?... Tylko jeszcze płakała czajka-żałobnica.

— Ki-i-i... wit... ki-iii...-wit... — spływało tęsknie zwysoka. Dopomagał jej niestrudzenie kszyk, bębniąc w rozpłomienionych zalotnie obłokach.

Wskazałeś ręką psu kierunek upadku zwierzyny, rozkazując: — Aport!

Wyżeł ochotnie wypadł z krzaku, jak bomba, chwilę pruł wodę piersią — dosięgnął kaczora i cały rozdygotany od wrzenia swej myśliwskiej krwi, posłusznie złożył ci u stóp ptaka.

Podziwiałeś jego przepyszny strój, cudną grę piór rozbarwionych odświętnie, tak harmonizujących się kolorytem z otoczeniem...

Tymczasem rumiana, płomienna zorza, jak zalotna kokietka, przybierała coraz to inne, niedbałe pozy, stroiła się w coraz piękniejsze suknie, o ciepłej, aksamitnej barwie... Byle śliczniej wyglądać w oczach przyrody, byle zachwycić swym urokiem ciche rozlewy lustrzane — swych kochanków wiosennych — Wreszcie zdziwiona ich milczeniem i obojętnością, zastanawiała się chwilę, czekała... Potem zaczęła stygnąć w zapale, przygasać: cień błękitnawej tęsknoty ukazał się na jej promiennem czole...; złocisto-szare oczy pożółkły, wypłowiały...; niedawno uśmiechnięte, karminowe usta przybrały pełen goryczy bronzowawy odcień...

Nieczuły napozór na zaloty zorzy wieczornej rozlew — posmutniał i zasępiony okrywać się zaczął nieuchwytną, mglistą przesłoną, jakby się wstydził swej poprzedniej obojętności. Ale, widocznie, uznając swe opamiętanie się za późne, na jutro odłożył zaloty, bo spowijał się coraz bardziej w sino-szarawą szatę wieczoru, zapowiadającą bliski zmierzch...

Hen ... nad odległemi, położonemi wyżej, polami, wyśledziło bystre oko małe stadko kacze, rwące na wschód przez mgły wieczorne... Więc: uwaga! Nabitą broń ściskasz w dłoniach, uspokajasz drgającego wyżła pospołu z tobą na prawo... Widać daleki będzie strzał, lecz rozemocjonowany ryzykujesz: za jedyną odpowiedź słyszysz mocniejsze granie skrzydeł...

Obrażony przed oczyma swej duszy, na punkcie strzelectwa, obracasz się szybko i z drugiej lufy „pod pióra" poprawiasz: jeden krzyżyk łamie się w locie, odłącza od reszty i spada głośno na zimny rozlew, rozbryzgując wodę.

Osamotnione kaczki — świadki tragicznej śmierci towarzysza, poniosły się szybko w modrawą przestrzeń... Byle dalej od zdradzieckiego huku, byle nie widzieć padającego bez życia kochanka! Het, w świat szeroki, bo życie drogie! Ku cieniom nocnym, bezpiecznym!

— — — — — — — — — — — — —

O, niewyczerpana nigdy rozkoszy łowiecka! Ty, czarodziejko święta, zamieniająca starca w świeżego młodziana! Matko spokoju i szczęścia na łonie natury, osłodo życia szarego!

Jakże lekko, „swojsko" czułeś się tam, gdzie rozbiegana stopa twa miała pod sobą nagi, rozmiękły grunt, gdzie oczy twoje zbożnie na zgranie barw patrzyły, gdzie w uszach szczęsna piosnka ptaszyny z nieba grala!

Hej, ziemio, ty, droga, kochana!

— — — — — — — — — — — — —

Na niebie paliły się jeszcze odblyskiem zorzy małe obłoczki... Stanęły w przestworzach, jak cudne kędziory i naśladowały w barwie strojów zmienną zorzę. Kilka z nich opuściło się nisko, niby owce, odpędzone od stada i wisiało teraz nad siną, pociętą w przepiękne wzory taśmą puszczańską.

Kędyś z głębin wieczornego nieba, z krain wysokich, tajemnych zaczynał spływać na skrzydłach czasu nieuchwytny mrok. Spływał, zlatywał... — a gdy uczuł się na siłach, ubierać zaczął w granat melancholijne, spragnione snu łąki...

W powietrzu kompletna cisza zaległa.

W dali niebieskiej, na południu, zarysowało się na niebie stado ptaków... Przybliżały się wolno, majestatycznie. Długi klucz wędrowników z obczyzny podążał do kraju rodzinnego...

Oblane purpurą, jakby wstydliwym rumieńcem, strażnicy moczarów — poważne żórawie łkającą piersią zagrały powitanie — — — —

Witały te łąki szmaragdowe, gwiazdami kaczeńców przybite do ziemi, te ciche wieczyście rozłogi wodne, krwistym kolorem nabrzmiałe...; te lasy drzemiące na krańcach pejzażu, te polne, szerokie obszary, i bagna kępiaste, „bohunem" usiane i mszarne, bezbrzeżne moczary.

Z utęsknionych ich piersi, z drgających gardzieli:

— Wiii-taj... wii-i....taj... ziemio rodzima... ojczyzno, matko nasza!... Wiii-taj!... — wyrywało się radosne powitanie i leciało w błękitniejącą, zasnutą mgłami dal pełnym szczęścia, triumfalnym hymnem — — — — —

— — — — — — — — — — — — —

Jakże drogie, bo przepiękne i nigdy niezatarte wspomnienia zostawił ci w duszy ten cichy, pełen uroku, nastrojowy wieczór wiosenny Olśnił twą duszę, pierwiastek artystyczny rozwinął, tchnął w ciało sterane walką codzienną nowe siły, nowy zasób energji, położył czarodziejskie piętno na całe chyba życie!

I czujesz się zapewne szczęśliwy, gdy rozbudzona wyobraźnia, jak niewidzialna dłoń dobrego ducha, maluje ci przed oczyma duszy: owe wiosenne srebrne rozlewy z ich mieszkańcami, to niebo głębokie i barwne, ten radosny przylot stęsknionych synów do swej ojczyzny... — to wszystko swojskie, to nasze, kochane...

Artykuł nieznanego autora p. t.: „Turysta a myśliwy“, umieszczony w Nrze 8 z 1 maja 1934 w „Wiadomościach turystycznych“ wychodzących w Warszawie, chcieliśmy pozostawić bez echa. Uważaliśmy bowiem ten elaborat za niezasługujący na reakcję i rzeczową polemikę.

W paszkwilu tym, gdyż jest nim ten elaborat w istocie, imponować może chyba tylko ignorancja przedmiotu, tudzież brak wychowania i kultury jego twórcy.

Mimo to umieszczamy poniżej świetną odprawę Szanownego naszego Korespondenta, jako wyraz opinji całego kulturalnego społeczeństwa. Red.

Atak furji

Niewątpliwie ciężką chorobą nawiedzony, niejaki p. M. D. mógł napisać coś, co redakcja „Wiadomości Turystycznych“, bez szczególnego taktu zresztą, uważała za stosowne wydrukować w numerze 8-ym swego pisma z dnia 1 maja b. r., pod tytułem: „Turysta, a Myśliwy“.

Głosy, zwalczające łowiectwo, dają się słyszeć od czasu do czasu i choć nie należą one nigdy do przekonywujących, jednak, o ile prowadzone są we właściwym tonie, znajdowały zawsze wśród ogółu myśliwych poszanowanie, gdyż przebijała przez nie, jako idea przewodnia, miłość dla zwierzęcia.

To też, broniący piórem lub słowem swej sprawy myśliwi, w argumentach swych zawsze przestrzegali polemicznego umiaru i taktu, licząc się, przedewszystkiem z tem, że oponenci-niemyśliwi, jako wolni od — odziedziczonej po przodkach — żyłki łowieckiej, stanąć na punkcie widzenia myśliwego poprostu nie są w stanie.

Namiętność myśliwska ma historję tak długą, jak długo istnieje człowiek. Zmieniły się rodzaje i sposoby łowów, żyłka myśliwska pozostała. Można nawet utrzymywać, że raczej siła jej rozwija się ciągle i wzrasta, gdyż, pomimo postępów, jakie zrobiły w ciągu szeregu stuleci etyka i kultura łowiecka, oraz, wprowadzane, w formie przepisów i ustaw łowieckich, obostrzenia, namiętność ta ciągle istnieje.

Trudnoby było zdefinjować, czem jest żyłka łowiecka. Ale ponieważ istnieje i istnieć będzie, więc chodzi tylko o to, ażeby namiętność ta nie przekraczała ram, odpowiadających duchowi czasu.

Pokolenie nasze poszczycić się może, że w ostatniem dziesięcioleciu wiele w tym zakresie dokonane zostało. Nie będziemy tu wyliczali. My, myśliwi, wiemy cośmy zrobili — turyści, w guście p. M. D. nie zrozumieją tego wcale.

Ale trudno byłoby nie dać „po łapach“ p. M. D. chociażby dlatego, ażeby ogół turystów nie sądził, że łowiectwo, to rzeczywiście ohydna zbrodnia.

Trzeba wyraźnie podkreślić, że artykuł p. M. D. nie tyle zdradza miłość dla zwierząt, co nienawiść wobec myśliwych.

Bo, według słów p. M. D. łączenie łowiectwa z t. zw. turystyką, „musi budzić żywy protest w całej rodzinie turystycznej“. Hola, mości panie, skąd takie prawo do wyłącznego zabierania turystyki dla siebie. Myśliwy, od wieków był już „turystą“, zanim wyraz ten był znany, gdy moda na wycieczki i spacery jest niemowlęciem zaledwie. Bardzo chwalebnie, że się rozwija i myśliwi przeszkadzać temu nie będą, ale żałować należy, że wschody i zachody słońca, księżycowe noce i szmer strumyka, tak mało kojąco wpływają na usposobienie turysty pana M. D., powodując u niego nagły wylew żółci na wszystko, co jest z łowiectwem związane. Mimowoli nastręcza się uwaga, że szukanie ukojenia w przyrodzie nie udało się p. M. D. A możeby łyżeczkę bromu?

Jakże łatwo jest pisać recepty dla innych.

Pisze p. M. D., że „turysta idzie w ostępy leśne, aby obserwować przyrodę... i z jej własnej mądrości czerpać własną“.

Po przeczytaniu artykułu p. M. D., należy stanowczo przyjść do wniosku, że mądrość w przyrodzie wcale nie istnieje.

Napewno przyroda, której jednem z zasadniczych założeń jest walka, nie podyktowała p. M. D. zastosowanego przezeń sposobu zwalczania łowiectwa i myśliwych, jakiego użył w swym artykule, i dlatego napaść p. M. D. nigdy stanowić nie będzie dla rzesz łowieckich niebezpieczeństwa, a już tem bardziej, że p. M. D., słusznie zresztą, ukrywa swe nazwisko.

Z całego artykułu, zdradzającego ostry atak furji, jestto bodaj jedyny przytomny moment.

Zaatakowana przez p. M. D. Międzynarodowa Rada Łowiecka, nic a nic nie straciła na swem znaczeniu, a my, myśliwi polscy, pamiętamy i dumni z tego jesteśmy, że uroczystości z jej Kongresem związane, odbywały się pod wysokim protektoratem Najdostojniejszych w naszem Państwie Osobistości.

Ten jeden argument powinien wystarczyć, ażeby p. M. D. nigdy więcej nie pomyślał o zwalczaniu łowiectwa.

Sądzimy też, że turystyka i przyroda natchną p. M. D. w tym kierunku, zwłaszcza, jeśli ...potanieją bilety turystyczne i żółć nie będzie miała powodu do burzenia się.

Kazimierz Świderski.



Notatki bibljograficzne

Włodzimierz Korsak, Łoś w Polsce. Z ilustracjami i fotografjami autora i jedną tablicą barwną. Warszawa, Nakł. Państwowej Rady Ochrony Przyrody, 1934. Wielka ósemka, str. 47. Skład główny: Kasa im Mianowskiego.

Mamy więc nareszcie monografję łosia. Bo mamy pisarza i znawcę takiego, jak Korsak. On tylko mógł się zdobyć na podobną pracę. Dokonał jej, oparłszy się przedewszystkiem na swojem własnem ogromnem doświadczeniu, a następnie na podjętych w tym celu specjalnych badaniach, które przeprowadził na terenach, posiadających odwieczne tradycje na polu znajomości natury łosia, jego biografji i zwyczajów, jakoteż łowów, urządzanych na tego zwierza.

Dotkliwy brak został usunięty. Mozolną pracę Korsaka, która ową lukę wypełniła, możnaby rozpatrywać z rozmaitego stanowiska: naukowego, przyrodniczego, łowieckiego, literackiego, nawet artystycznego. Ponadto jednak należy zwrócić uwagę, że narodziny tej pracy odbyły się w okolicznościach zgoła niezwykłych. Oto jej matką chrzestną jest Rada Ochrony Przyrody! Jest to szczegół niesłychanie znamienny. Państwowa Rada Ochrony Przyrody wydaje własnym nakładem książkę łowiecką. Bo taką, a nie inną jest ona de facto. Prawda, że jest tam mowa o gatunku faunistycznym, a w szczególności o odmianie, względnie odmianach jego polskich; prawda, że jest mowa o jego ochronie i o fakcie, serce budującym, że gatunek ten w Polsce niedawno jeszcze bliski zupełnej zagłady, liczy dziś około 700 sztuk, t. j. już 25% stanu przedwojennego, ale jakiemuż to czynnikowi przyroda polska zawdzięcza uratowanie i rozmnożenie łosia, komuż zawdzięcza owo zwycięstwo, które Korsak ujął w następujące słowa:

„Dziś, o ile kataklizmy dziejowe nie narażą rozrastającego się zwierzostanu na nowe niebezpieczeństwo, **mowy już być nie może o zaginięciu w Polsce łosia?"**

Wszakże tylko i wyłącznie łowiectwu. Oto tryumf w dziejach łowiectwa na złote głoski zasługujący. A zarazem cóż za wspaniały argument w odpowiedzi na dyktowane ciemnotą, ignorancją i złością, opinje o łowiectwie, odzywające się wciąż jeszcze w społeczeństwie a nawet w prasie. Słusznie też p. Michał Pawlikowski fejletonowi swemu o dziele Korsaka („Słowo" wileńskie Nr. 133 z dn. 18 maja) dał tytuł: „Pieśń o szlachetnym wasalu". Uratowanie łosia, „szlachetnego wasala" z mateczników mickiewiczowskich, już samo przez się jest epopeją, jakich w dziejach kultury mało. I słusznie podnosi Pawlikowski, że to, co dla niemyśliwych brzmi jak paradoks, niemniej jest faktem realnym. „Bo łosia ocaliły i rozmnożyły nie odczyty i broszurki (czytaj: niepowołanych opiekunów), nie łzawe nawoływania i apele, nie plakaty propagandowe i represje (znane są wypadki wymierzania kłusownikom śmiesznie niskich kar za ubicie łosia!). Łosia ocalili i rozmnożyli myśliwi, t. j. ludzie, którzy w oczach przeciętnego mieszczucha powołani są tylko do mordowania zwierzyny..." i dalej: „...toteż gdybyśmy odebrali myśliwym pieczę nad zwierzyną i powierzyli ją sentymentalnym paniom i panom, roniącym łzy nad każdym „zamordowanym" szarakiem, to nietylko łoś zginąłby doszczętnie, lecz i szarak stałby się okazem muzealnym".

Zrozumienie przez Radę Ochrony Przyrody znaczenia łowiectwa, jako czynnika hodowlanego, a więc ochronnego, jako czynnika, który opiekę nad zwierzyną przeprowadza nietylko teoretycznie, ale i praktycznie, jest gwarancją, że tam, gdzie chodzi o ochronę fauny krajowej, jedynie współpraca obu tych elementów: łowieckiego i ochroniarskiego może dopiero dać wyniki w całem słowa tego znaczeniu dodatnie.

Oto refleksje, nasuwające się siłą logiki faktów pod wpływem takiej lektury, jaką jest książka Korsaka o łosiu. Nie dziw, że Rada Ochrony Przyrody mogła ze zrozumiałą satysfakcją do tego rodzaju publikacji się przyczynić i wydać ją jako Nr. 40 swoich wydawnictw. Wartość propagandową dla zagranicy podnosi skrót, podany na końcu książki po angielsku i angielski tytuł, pomieszczony obok polskiego w słowach następujących: *State Council for the Protection of Nature in Poland, Nr. 40. Włodzimierz Korsak, The ELK in POLAND itd.*

O sposobie ujęcia tematu, o stylu, sumienności i jasności opracowania zbyteczne byłoby się rozwodzić. Niech mi tylko będzie wolno przypomnieć wypowiedziany przeze mnie w „Łowcu" Nr. 7 z r. 1932 pogląd na 25-letnią działalność Włodzimierza Korsaka i jego znaczenie w naszej literaturze łowieckiej. Nie będę też powtarzał wyrażonych tam uwag o artystycznych upodobaniach tego autora i jego specyficznej technice rysunkowej. Książka, o której mowa, przynosi znowu cały szereg tych utworów, wśród nich kolorową reprodukcję krajobrazu z przebiegającym przez mokradła leśne łosiem*). Na okładce znakomita piórkowa kompozycja, przedstawiająca sylwety byka i klempy na tle pejzażu. Nie potrzeba chyba dodawać, że pod względem wydawniczym, nowa publikacja robi doskonałe wrażenie. Książkę swą dedykował autor Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej, Ignacemu Mościckiemu.

Pierre Coche, Paysages et Chasses de Pologne, Paris, Gebethner et Wolff, 1934, in 8-vo, str. 140 i spis rzeczy. Przedmowa hr. Maurycego Potockiego, 65 ilustracyj. Na czele dedykacja dla Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, Ignacego Mościckiego.

Jak słusznie zauważa w przedmowie hr. Maurycy Potocki, tego rodzaju rzecz, napisaną o Polsce przez cudzoziemca, przyzwyczajeni jesteśmy brać do ręki z pewnem niedowierzaniem. Powierzchowność, nieznajomość terenu i przedmiotu: to zwykłe cechy składające się na obcą literaturę, poświęconą Polsce, jako krajowi tak odległemu, tak nieznanemu i tak egzotycznemu, że sprawdzanie podawanych o nim wiadomości ani autora, ani cudzoziemskiego czytelnika nie zdaje się obowiązywać.

Książka pana Coche odbiega najzupełniej od tego szablonu. Jest to dzieło w całem słowa znaczeniu wartościowe, oparte na głębokich studjach teoretycznych i na gruntownem przygotowaniu praktycznem. Jeżeli p. Coche ubiera swe opowiadania w piękną formę literacką, jeżeli na czele każdego rozdziału przytacza klasyczne ustępy

*) Rycina ta w osobnem odbiciu rozdawana była członkom Zjazdu Międzynarodowej Rady łowieckiej.

z naszej literatury pięknej (w brzmieniu polskiem, a równocześnie we własnym przekładzie francuskim), to niemniej pod względem rzeczowym książka jego posiada, dla cudzoziemca zwłaszcza, znaczenie orjentacyjnego podręcznika o polskich łowach, polskich łowiskach i polskiej zwierzynie i dlatego ma ona, poza wartością literacką i fachową, przedewszystkiem pierwszorzędną wartość propagandową. Oczywiście nie można było na nią wybrać lepszego momentu jak rok bieżący, to jest rok odbytego właśnie kongresu Międzynarodowej Rady łowieckiej (Conseil International de la Chasse), który zgromadził w Warszawie gości z wielu krajów i zwrócił uwagę całego międzynarodowego świata łowieckiego na Polskę.

Już sam opis Białowieży, a na tem tle doskonale, zwięźle ujęta historja naturalna żubra (w zestawieniu z dawnym turem) i sprawozdanie z prac około reprodukcji gatunku, — są to szczegóły, wzbudzające, rzecz prosta, najwyższe zainteresowanie swą bezwzględną odrębnością, jeśli chodzi o stanowisko Polski w dziejach przyrody i łowiectwa. — Pozostały materjał, podzielony na cztery zasadnicze części: wiosnę, lato, jesień i zimę, dostarcza niezwykle interesującej lektury tak obcemu jak i naszemu czytelnikowi. Obcemu, bo dla niego wszystko to będzie miało wartość fascynujących odkryć, — naszemu, bo ten z satysfakcją będzie się lubował i budował artystycznem i wszechstronnem przedstawieniem tych niewyczerpanych nigdy rodzimych wartości, któremi sam może dotąd niedość się zachwycał.

Rzut oka na treść:

Białowieża, siedziba żubrów. — Przebudzenie lasu: pieśń głuszca, cietrzew. — Polowania letnie. — Jesień: łoś, jeleń, bażant, kuropatwa. — Wielkie łowy zimowe: polowanie na zające, wigilja Bożego Narodzenia; dzik; wilk; ryś.

Do najlepszych i najciekawszych należą opisy polowania na głuszce, podane na podstawie własnych przeżyć. Scena zmienia się trzykrotnie. Raz jest to Białowieża, drugi raz Woropajewo na Wileńszczyźnie w gościnie u hr. Przeździeckiego, trzeci raz wreszcie Nieśwież, gdzie autor w sezonie 1933 upolował 8 głuszców. Podany przy tej sposobności opis Nieświeża już sam przez się wart jest żywej uwagi czytelnika, nie mającego o czemś podobnem nawet przybliżonego pojęcia.

Ilustracje, będące w większej części reprodukcjami zdjęć fotograficznych, z małemi wyjątkami bardzo udatne. Są one przytem urozmaicone i wzbogacone reprodukcjami kilku charakterystycznych arcydzieł Fałata*).

*) Książkę można nabyć przez każdą księgarnię. Cena oryginalna 15 fr. franc., u nas 6 zł. 50 gr.

W. Z.



Korespondencje

SPRAWOZDANIE DELEGACKIE Z POW. PRZEWORSKIEGO

Zwierzostan.

(Ciąg dalszy).

Strefa I. Zajęcy stosunkowo bardzo mało, kuropatw także. Zato w lasach występują lęgowe dziki, nierzadki jarząbek, lis częsty po jarach i zaroślach.

Sarn sporo, cechują je jednak bardzo słabe i prawie nieoperlone poroża rogaczy. Ogromna ilość lęgowych gołębiarzy, które pod jesień masowo wędrują na tereny niższe, północne, bogate w zwierzynę i wyrządzają tam ogromne szkody, zwłaszcza w kuropatwach i bażantach.

Pospolita słonka lęgowa. Ciągi bardzo dobre.

Strefa II. Bogate, umiarkowanie suche gleby lessowe, stosunkowo znaczne przestrzenie wolnych pól pomiędzy osiedlami ludzkiemi i duże jeszcze posiadłości folwarczne, stwarzają warunki korzystne dla rozmnoży zwierzyny drobnej: zajęcy i kuropatw, których jest tutaj stosunkowo dużo. Występują tutaj na wpół polne sarny, których stan w związku z postępującą parcelacją obszarów dworskich stale się pogarsza. Parostki rogaczy naogół dobre i ładnie operlone.

Zwiększająca się z każdym rokiem ilość i gęstość osad włościańskich, wywiera tu bardzo ujemny wpływ na zwierzostan.

Szereg majątków ziemskich (np. Urzejowice, Krzeczowice, Siennów) założył spore plantacje wiklin koszykarskich, które jako naturalne remizy stanowią doskonały schron dla drobnej zwierzyny i przyczyniają się wybitnie do podniesienia jej stanu, zwłaszcza zaś kuropatw i bażantów.

Lis bardzo rzadki, tępiony.

Ptactwo wodne i błotne tylko w przelocie, najczęściej po wylewach Mleczki. Istniejące tutaj w paru miejscowościach stawy rybne, nieduże i czysto utrzymane, nie stanowią dla tej zwierzyny potrzebnej ostoi.

Gołębie grzywacze pospolite. Słonek niema.

Bażanty hodowane przez Ordynację Przeworską w Nowosielcach i Grzęsce, na dziko ochraniane i podkarmiane w Krzeczowicach i Siennowie. Stąd rozchodzą się w szerokim promieniu po łozinach i zaroślach. Przychodzą także z sąsiedniego Zarzecza hr. Dzieduszyckiego w pow. jarosławskim.

Strefa III. Dobre warunki naturalne dla rozwoju kulturalnej zwierzyny. Przewaga piasków z dużą ilością ozimin (żyta), porozrzucane lasy i zarośla wiklinowe nad brzegami rzek, naturalne wodopoje na starych zakolach rzecznych, na rzekach i dopływach, miejscami na resztkach śródłąkowych bagienek, umożliwiałyby bogaty rozwój zwierzyny. Niestety stoją temu na przeszkodzie wylewy rzek, niszczące znaczne nieraz połacie pól i łąk, a przedewszystkiem gęstość osiedli ludzkich i ich rozrzucenie. Wystarczy rzut oka na mapę. Obszary gmin przeważnie bardzo małe (bywają gminy po 200 i 300 morgów), ludność ich bardzo gęsta i uboga. Do tego, gdy w strefach I. i II. osiedla ludzkie porozmieszczane są dość regularnie po jarach i dolinach w znacznem od siebie oddaleniu, pozostawiając duże przestrzenie pól, wolnych od domów, pomiędzy poszczególnemi wsiami, to w strefie III., zagrody wiejskie rozsiane są często w istną szachownicę, uniemożliwiając nieraz opolowanie danego terenu bez zamknięcia w kociołku kilkunastu czy kilkudziesięciu domostw. O polowaniu ławą niema nawet mowy: zbyt krótkie są przestrzenie wolnych pól. A w każdym domu musi być kot, często i pies. Ludność uboga, a zuchwała, z dawnemi tradycjami kłusowniczemi, z zakorzenioną (od czasu wojny światowej) skłonnością do wnykarstwa.

Nic dziwnego, że w takich warunkach doprowadzenie zwierzostanu do wyższej normy jest pracą Syzyfa, bardzo ciężką i kosztowną, nikłe dającą rezultaty, a zmuszającą wciąż do powrotu do punktu wyjścia. Niezdrowa konkurencja niektórych nielojalnych sąsiadów, no i miejscowych małorolnych amatorów, doprowadziła do nadmiernego wyśrubowania czynszów dzierżawnych za polowania gminne. Zresztą każda gmina, choć mała, ma ambicje co do czynszu równe gminom wielkim, od których nie chce być gorszą. Łącznie z koniecznością utrzymywania licznej straży łowieckiej, przy niesłychanie niskich cenach zwierzyny, wkłada

to ogromny, ponad siły niemal ciężar na barki gospodarzy tutejszych łowisk.

Najgrubszą zwierzyną strefy III jest sarna. Późną jesienią gromadzi się w lasach, gdzie karmi się liśćmi jeżyn, pędami żarnowca, gałązkami osiczyn i t. p., w razie potrzeby podkarmiana sztucznie. Wiosną rozchodzi się w dużym promieniu, znajdując idealne warunki zwłaszcza po polach i łozinach nadrzecznych nad Wisłokiem i Sanem. O dobrych warunkach rozwoju świadczą dobrze wykształcone i ładnie operlone parostki rogaczy.

Dziki trafiają się tylko wyjątkowo i chwilowo, jako przechodnie.

Zając i kuropatwa czują się tutaj doskonale i pomimo mnóstwa szkodników ludzkich i zwierzęcych, stan ich utrzymuje się naogół na poziomie możliwym. Po klęsce, przy należytej opiece rychło wraca do normy, czego przykładem, rozmnożenie się zajęcy po strasznem wyniszczeniu wojennem w latach 1914/15 i 1920 — a kuropatw po katastrofie pomoru przed 10-ciu laty, później po strasznej zimie 1928/29. Lis występuje w niewielkiej tylko ilości, gdyż ze względu na bażanty i inną zwierzynę, nie dopuszcza się do większego jego rozmnożenia się.

Bażanty głównie po nadrzecznych łozinach, miejscami po zagajnikach leśnych, gdzie się je starannie w zimie podkarmia.

Przepiórka z roku na rok rzadsza, niemal nie wchodzi w rachubę.

Ptactwo wodne i błotne występuje w niewielkiej ilości. Nie może przyjść do siebie po strasznych cięgach, jakie mu zadała zima r. 1928/1929. Zresztą suche lata ostatnie spowodowały zanik większości moczarów, ograniczając je prawie wyłącznie do starych koryt rzecznych. Z kaczek dzikich najpospolitsza krzyżówka, oprócz niej trafia się często cyranka, rzadziej cyraneczka i podgorzałka. Wszystkie lęgowe. W późnej jesieni i w zimie zbierają się ich duże stada na Sanie i na Wisłoku. Zwłaszcza na tym ostatnim, który nawet w duże mrozy nie zamarza całkowicie, pozostawiając liczne „przeciecze”. W straszną zimę r. 1929 zamarzł jednak zupełnie.

Pospolita dawniej łyska wyginęła. W przelocie spotyka się kaczkę świstuna (rzadziej inne gatunki kaczek), perkoza dwuczubego i zausznika, wreszcie gęś gęgawą i nury północne.

Z ptaków błotnych (brodźców) gnieżdżą się: kszyk i bekas mały (ficlauz) czajka, siewka rzeczna, bąk i bączek, wreszcie bocian biały. W przelocie bardzo rzadko trafia się bocian czarny, często zaś czapla siwa, gnieżdżąca się w powiatach sąsiednich, rybitwy, (jako zwiastuny powodzi), kulony, kuligi, różne siewki. Zwłaszcza po wylewach, gdy szerokie przestrzenie pól i łąk nadbrzeżnych przemienią się chwilowo w płytkie trzęsawisko, pokryte lepką madą, roi się czasem na nich od ptactwa błotnego, niestety bardzo ostrożnego i trudnego do podejścia, do obserwacji i upolowania.

Słonka stosunkowo rzadka — najpospolitsza jeszcze na jesieni. Wiosenne ciągi bardzo słabe (brak podmokłych lasów i zarośli).

Gołębie dzikie pospolite, zwłaszcza w gajach nadbrzeżnych. W drugiej połowie lata zbijają się w ogromne stada, nieraz po kilkaset sztuk. Częstszy gołąb grzywacz, rzadszy siniak. Turkawka wszędzie pospolita.

Kłusownictwo i wnykarstwo.

Bardzo silne jest ono w strefach I. i III. Lasy, wąwozy i jary w str. I., lasy, zarośla, wikliny, doliny rzeczne w str III, wreszcie ubóstwo ludności miejscowej, wszystko to umożliwia jego trwanie.

Stare tradycje odżyły i wzmogły się jeszcze podczas i wskutek wojny. Rozluźnienie pojęć i rygorów prawnych, zradykalizowanie i rozzuchwalenie włościan, zubożenie ich w następstwie kryzysu i bezrobocia, przyczyniły się ogromnie do powiększenia kłusownictwa.

Masy broni i amunicji, pozostałej po wsiach z czasów wielkiej wojny, zwłaszcza na północy w strefie III., która wielokrotnie była krainą długotrwałych walk, stanowią niewyczerpany dotąd arsenał i skład amunicji dla kłusowników szerokiej okolicy. — W niektórych wsiach istnieją specjalni ślusarze i rusznikarze, trudniący się zawodowo przerabianiem broni wojskowej na myśliwską. Wykopuje się po starych okopach i schowkach zardzewiałe karabiny, ucina lufy i rozwierca je do średnicy jakiegoś 28 cz. 24 kalibru, dorabia łoża, muszki etc. Stare, wojskowe łuski mosiężne nabija się prochem na pełno, śrut sypie do lufy z przodu — i gotowa broń myśliwska na pół odtylcowa. Wiele szkody wyrządzają w okolicach lesistych cicho strzelające, małokalibrowe karabinki i floberty. Niejedna sarna padła ich ofiarą.

Kłusownik, używający broni palnej, nie zrządza jednak nigly tak strasznych szkód, jak wnykarz. Ileż to zwierzyny, schwytanej na sidła, marnieje bez żadnego pożytku nawet dla samego wnykarza! Jakież katusze przechodzi taka zwierzyna, zanim zdechnie, lub zostanie odnaleziona! Gdybyż zechcieli to pojąć i pamiętać o tem wszyscy sędziowie, sądzący sprawy wnykarskie!

Nie było tutaj wnykarstwa w czasach dawniejszych, przedwojennych. Zaczęło się dopiero od roku 1913, od czasu pierwszych kwaterunków wojskowych oddziałów austrjackich, w przyczółkach mostowych nad Wisłokiem i Sanem, w str. III. Przyszła wielka wojna: W tych samych przyczółkach mostowych kwaterowały później oddziały rosyjskich strzelców syberyjskich. Sybiracy, zawodowi myśliwi, znakomici strzelcy (wybili moc kuropatw na śniegu kulami z karabinów wojskowych) znali wszelkie możliwe sposoby łowienia zwierząt, wszelkie rodzaje sideł i wnyków. Od nich nauczyli się chłopi. Jest to ulubiony proceder wiejskiej młodzieży, choć nie brak i starych, zawodowych wnykarzy.

Dobrze się oni na tem znają. Zależnie od rodzaju zwierzyny używają różnych gatunków drutu, lub włosia, inaczej wnyki zastawiają. Istnieją specjalne wnyki na stare i na młode zające, na sarny i na lisy, wreszcie na rozmaite ptactwo. Wiążą sidła nietylko po zagajnikach leśnych, zaroślach i wiklinach, ale nawet na otwartem polu, na specjalnych obręczach, lub długich mocnych drutach, rozpiętych poziomo między dwoma kołkami. Obręcze stosują przedewszystkiem na kuropatwy: na obwodzie zgiętego w obłąk kija, umocowanego tuż przy ziemi, wiążą maleńkie kluczki z włosienia lub cieniutkiego, miękkiego drucika, w środek sypią ziarno. Drutów poziomych, używają na młode zające.

Walka z wnykarstwem jest bardzo uciążliwa i dużo trudniejsza, niż zwalczanie kłusownictwa z bronią palną.

Walkę z wnykarstwem i kłusownictwem prowadzi się na terenie całego powiatu, jednak nie wszędzie dość energicznie. Najsilniej w strefie III. Posterunek Policji państw. w Tryńczy w roku 1933 odebrał największą w powiecie ilość sztuk broni palnej, najwięcej schwytano tu kłusowników i wnykarzy. Tutaj istnieje wybitne współdziałanie pomiędzy Policją, a gospodarzami łowisk.

Znacznie gorzej jest w strefie I. W okolicy podgórskiej, pełnej jarów, wąwozów i zarośli, z natury rzeczy znacznie łatwiej jest kłusownikowi, czy wnykarzowi uprawiać swój ryzykowny proceder, niż w okolicach bardziej kulturalnych, lub równiejszych. — Przytem brak tutaj potrzebnych wysiłków ze strony właścicieli łowisk (z wyjątkiem hr. Scipiona w Łopuszce Wielkiej). Niemniej przeto posterunek Policji w Monasterzu, stoi na drugiem miejscu po Tryńczy co do ilości broni, skonfiskowanej w r. 1933.

Najlepiej jest w str. III., gdzie kłusownictwo jest bardzo słabe, przytem bardzo silne zwalczane, wnykarstwo zaś niemal nie istnieje. Składają się na to warunki naturalne: brak lasów i zarośli, a przytem wyższa kultura i większa zamożność ludności włościańskiej.

Zwalczanie szkodników zwierzęcych.

Walkę ze szkodnikami zwierzęcemi prowadzi się we większej części łowisk powiatu. Najgorzej jest pod tym względem znowu w strefie I., gdzie cały szereg gospodarzy łowisk zupełnie zaniedbuje tą sprawę.

Dobrze jest w strefach II i III.

Psy, koty, wrony, sroki, gołębiarze, krogulce, błotniaki stawowe tępi się bezwzględnie we wszystkich, dobrze zagospodarowanych łowiskach. Ze względu na drobną zwierzynę, a zwłaszcza ptactwo (bażanty), prześladuje się i lisa.

Bociana strzela się tylko na łowiskach Ordynacji Przeworskiej i w Krzeczowicach, w majątku Akademji Umiejętności. Właściciele innych łowisk patrzą przez palce na szkody przez niego wyrządzane, oszczędzając tego coraz rzadszego ptaka, tak dla Polaka sympatycznego.

Sojka tępiona jest w Ordynacji Przeworskiej.

Myszołowy, pustułki, pustułeczki naogół chronione. Niestety

dosyć często są pomyłki ze strony zbyt gorliwej straży łowieckiej, lub co gorsza, ze strony myśliwych-laików i wiele tych pożytecznych ptaków, pada ich ofiarą. Iluż jest zresztą dobrych nawet myśliwych (o „strzelaczach" nie wspominam), którzy nie dadzą sobie wytłómaczyć, że zabijanie tych ptaków nie licuje z należycie pojętą etyką myśliwską, a przytem, że dla pożytku, jaki te ptaki przynoszą, warto zamknąć oczy na sporadyczne i niewielkie szkody, jakie wyjątkowo wyrządzają. To samo w jeszcze większej mierze odnosi się do sów.

Niewielu tylko gospodarzy łowisk rozumie szkody, jakie rolnictwu, ogrodnictwu, leśnictwu, a i samemu łowiectwu, przynosi zbyt ryczałtowe tępienie drapieżników ptasich — tem mniej zrozumienia napotykają zasady ochrony przyrody. To też w wykazach strzałowego niektórych wzorowych pozatem gospodarstw łowieckich spotykamy „curiosa", jak nagrody za ubicie włochacza (myszołowa włochatego), orła(!!), sowy, nie mówiąc już o różnych sokołach, rybołowie, srokoszu, kruku no i o bocianie. Najgorzej zaś, jeśli gospodarz łowiska jest równocześnie właścicielem stawów rybnych. Wtedy już stanowczo niema litości dla najrzadszych nawet przedstawicieli naszej ornitofauny, nie wyłączając nawet tak cennego jej składnika, jak bocian czarny, czy też ryczałtowo pojęty „orzeł".

Na tem polu jest jeszcze bardzo wiele do zrobienia. Gospodarze łowisk zrozumieć muszą, że bezwzględne tępienie wszelkich niemal drapieżników ptasich, wcale nie jest dla nich połączone z korzyścią, a przedewszystkiem dowodzi raczej wszystkiego innego, tylko nie prawdziwej kultury.

Zaznaczam, że nie piszę tego specjalnie o powiecie przeworskim.

(Dok. nast.).

Z Polskiego Związku Stow. Łowieckich

Protokół z posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 23 marca 1934 r.

Przewodniczył obradom p. W. Szperling, obecni byli pp.: Wiceprezesi Zarządu — gen. dyw. K. Fabrycy, M. hr. Potocki, Członkowie Wydziału Wykonawczego — red. W. Garczyński, dyr. B. Gędziorowski, inż. H. Knothe, C. Lisowski, J. Skrzypek, mec. A. Tallen-Wilczewski; protokół prowadził J. Bokiewicz.

Wydz. Wykonawczy zatwierdził opracowany przez pp. Skrzypka i Garczyńskiego projekt memorjału w sprawie konieczności obniżenia norm oraz wprowadzenia zmian w statucie podatku komunalnego od wykonywania prawa polowania.

Memorjał ten postanowiono złożyć w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, w odpisie zaś przesłać z prośbą o poparcie p. Ministrowi Rolnictwa, a do wiadomości p. Ministrowi Skarbu.

Na wniosek p. Garczyńskiego uchwalono, że po ogłoszeniu trzykrotnem kandydatur na delegatów powiatowych w „Łowcu Polskim", winna nastąpić ich formalna nominacja przez Wydział Wykonawczy. Dotychczasowa bowiem nominacja następowała automatycznie po trzykrotnem ogłoszeniu zatwierdzonych kandydatów.

Wołyńskie Stowarzyszenie Łowieckie w Łucku, jako przyszły Oddział Wojewódzki Związku na Wołyniu, zwróciło się z prośbą o przyznanie ulgi w opłacie składki członkowskiej na rzecz Związku. Wydział Wykonawczy postanowił przedstawić Zarządowi Związku wniosek o ustalenie wysokości składki od Wołyńskiego Stowarzyszenia Łowieckiego na 10% od efektywnych wpływów Stowarzyszenia.

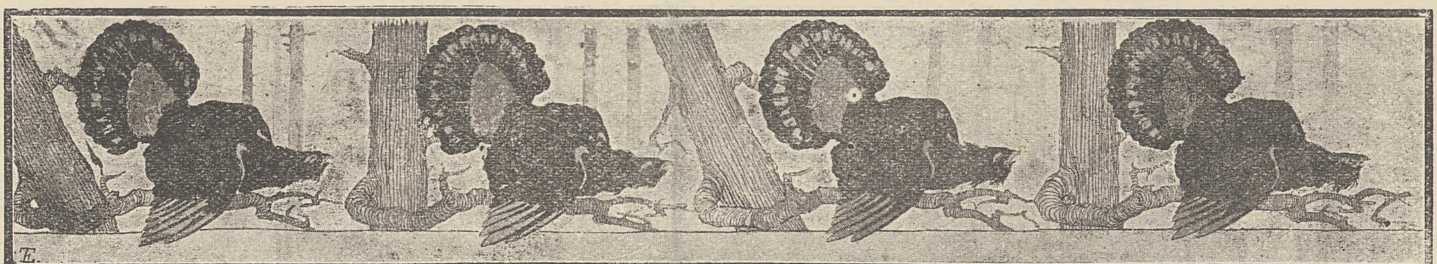
Wydział Wykonawczy zakwalifikował do przyjęcia Kieleckie Towarzystwo Prawidłowego Myślistwa w Kielcach i postanowił przedstawić Zarządowi Związku wniosek o zaliczenie tegoż Towarzystwa w poczet Stowarzyszeń Związkowych.

W dzienniku „Polska Zbrojna" otwarty zostaje dział łowiecki pod redakcją p. J. Dylewskiego. P. Dylewski przesłał Wydziałowi Wykonawczemu oświadczenie, że w dziale tym umieszczane będą prace, których wytyczne zgodne są z zasadami kulturalnego łowiectwa i z ideologją Związku. Oświadczenie to przyjęto do wiadomości.

Wydział Wykonawczy postanowił zamówić sztance Medalu Zasługi Łowieckiej w zmniejszonej wielkości. Koszt dwóch sztanc wyniesie 160 zł. Z przedstawionych wzorów — wybrano wielkość średnią.

Na wniosek Towarzystwa Łowieckiego Ziem Wschodnich, Wydział Wykonawczy nadał bronzowy Medal Zasługi Łowieckiej Franciszkowi Kosnicy, posterunkowemu policji państwowej w Kobylniku (pow. Postawy) — za energiczne i skuteczne zwalczanie kłusownictwa.

Do niniejszego numeru „Łowca" dołączamy czeki P. K. O. na których wypisano ołówkiem zaległości każdego adresata.



TREŚĆ NUMERU 11—12:

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 6·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 120 zł., 1/2 str. 60 zł. 1/4 str. 30 zł., 1/8 str. 15 zł., 1/16 str. 7 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 15 gr. za wyraz, tłusty druk, grube litery po 20 gr. Najmniejsze ogłoszenie zł. 2. Znaki pisarskie liczy się za wyrazy.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, I p. schody 5 drzwi Nr. 44 (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) Godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małop. Tow. Łow. we wtorki i piątki o godz. 12-tej
Redakcja nie zwraca rękopisow już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty
Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18-59.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek — Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 4-32